ZOFIA KOSSAK
PRZYMIERZE
POWIEŚĆ BIBLIJNA
Stron 340 CENA 20/-
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"
12 Praed Mews, London, W. 2

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3, ENGLAND

ROK X Nr 9 (453)

NIEDZIELA, 26 LUTEGO 1956 R.

W WIELKIE I WAŻNE ROCZNICE

Odezwa J.E. Księdza Arcybiskupa Józefa Gawliny

Opiekuna Emigracji Polskiej

Drodzy Rodacy!

I

Wspaniały list Ojca św. do Księdza Kardynała Prymasa i Episkopatu Polskiego na 300-lecie Obrony Częstochowy nakłada na nas wszystkich obowiązek najgłębszej wdzięczności wobec Namiestnika Chrystusowego, Pocieszyciela i Obrońcy naszego Narodu. Toteż 80-lecie urodzin Ojca św. da nam upragnioną możność złożenia Jego Świątobliwości hołdu i serdecznej podzięki za wszystkie objawy miłości, żarliwej troski i opieki, jakimi otaczał Polskę w ogrójcowych chwilach wojennych.

Dalsze dowody wspaniałomyślności Ojca św. z lat ostatnich są nam dobrze znane. Mamy tu na myśli przede wszystkim wyniesienie naszego Prymasa do godności kardynalskiej, trzy wspaniałe Listy Papieskie: mianowicie List Maryjny z 1951 roku, List na 700-lecie kanonizacji św. Stanisława Biskupa i Męczennika z 1953 roku oraz ostatni List Papieski o Częstochowie. Dla podkreślenia szczególnych zasług Narodu naszego w ruchu maryjnym, Ojciec św. Pius XII zamianował Biskupa polskiego Dyrektorem Światowej Federacji Kongregacji Mariańskich.

Któż policzy wszystkie inne objawy czułości serca Namiestnika Chrystusowego dla naszych braci tak w Ojczyźnie jak i na uchodźstwie? Któż wniknie w ogrom bólu, jaki zasmuca Ojca św. z powodu cierpień zawsze wiernej Chrystusowi Polski?

Któż wreszcie nie wie o Jego gorących modłach o rychłe przybliżenie radosnego dnia zmiłowania Bożego nad Ojczyzną naszą?

Polak sercem płaci za serce. A ponieważ Kraj nasz skazany jest na milczenie, wszyscy Polacy zagranicą w uroczystym dniu jubileuszowym Ojca św. zastąpią Ojczyznę w zamanifestowaniu swych uczuć synowskiej miłości, hołdu i wierności w sposób, jaki zaleciłem Przewielebnym Księżom Rektorom Polskich Misyj Katolickich oraz Duchowieństwu polskiemu.

II

Kochani Rodacy! W swym orędziu pasterskim do was nie mogę pominąć drugiej wielkiej rocznicy tak żywo związanej z dziejami naszego Narodu. Wielkimi krokami zbliża się 300-lecie Ślubów Jana Kazimierza i obrania przez niego w imieniu całego Narodu Matki Najświętszej Królową naszej Ojczyzny, Królową Polski.

„Naród polski — mówi Ojciec św. na początku Swego Listu — zawsze chwalebną Królową, tylu zwycięstwami wsławioną, tak wielką otaczał czcią, że w niej nikomu nie pozwolił się wyprzedzić, a Matka Najświętsza odwzajemniała się wam za to czułe nabożeństwo tym widoczniejszą pomocą, im groźniejsze było niebezpieczeństwo". Wyraźnym maryjnej opieki świadectwem jest właśnie Jasna Góra, jest za lat naszych Cud nad Wisłą.

Jeżeli, Drodzy Bracia, sięgniemy do naszych osobistych wspomnień, to z pewnością nie jeden z nas przyzna, że i w jego własnym życiu okazała się cudowna opieka Matki Bożej, która ratowała nas w ogniu bitwy, podczas rozszalałych nalotów, w czasie burz morskich, w obozach koncentracyjnych niemieckich i w łagrach ziemi nieludzkiej. Czcicieli Swoich powstrzymywała Matka Niepokalana od grzechów rozpaczy i zwątpienia, prowadząc nas do stóp litościwego Syna Swego, polecając nas i brzemię cierpień naszych Nieskończonemu Jego Miłosierdziu.

Nieustającą pomocą Swoją ratuje Bogurodzica Polaków i Polskę, choć, niestety, nie zawsze spełnialiśmy uroczyste śluby nasze po ocaleniu. Jesteśmy więc Jej dłużnikami.

Mimo to Królowa nasza nie przestała być naszą Matką i przemożną Orędowniczką w obecnej także udręce naszej.

„Wolni od wszelkiej trwogi — nawołuje Ojciec św. — zwróćcie oczy wasze z ponowną gorliwością do Bogarodzicy i Królowej waszej, co dziewiczą stopą starła piekielnego wroga... a najmiłościwsza Matka nie opuści na pewno ukochanych przez Siebie Polaków, którzy według słów waszego przesławnego wieszcza Adama Mickiewicza „są obrońcami Maryi i Jej imieniem żyją".

Namiestnik Chrystusowy zaleca nam więc wzmożoną w służbie Maryi gorliwość i zapewnia, że gdy okażemy się godnymi naśladowcami stałości swych ojców, wtedy za Jej przemożnym orędownictwem, po burzach zajaśnieje na długo dla naszej Ojczyzny złote światło szczęsnego wieku.

O Matko Najświętsza! Czegożbyśmy więcej pragnęli, jak właśnie tego szczęścia dla nas i dla umiłowanej Polski? O przybliż ten dzień radosny! Ty jesteś nie tylko Polski, ale i polskiego Wychodźstwa Królową! Ratuj umiłowane dziedzictwo Swoje w Kraju i zagranicą. Chroń przed zwątpieniem, umocnij w nas miłość i zgodę, ukaż bezpieczną drogę do jedności, albowiem Tyś jedyną wierną Sojuszniczką naszą na tym wiarołomnym świecie i jedyną naszą ze Synem Swoim Nadzieją.

Pani Jasnogórska! Któraś sługę Swego przeora Kordeckiego natchnęła mądrością i męstwem, daj wyznawcom Swoim w wierze ojców naszych wytrwanie!

Odziana w słońce chwały i sprawiedliwości, stawiasz niepokalaną stopę Swoją na księżycu, tym oddawnym znaku zmienności i kłamstwa. Nie daje On światła ni ciepła sam z siebie, a tylko świeci blaskiem skądinąd pożyczonym. Podobne światło, które nigdy ciemności nie rozjaśnia, zapożyczają zwolennicy nowinkarstwa od czerwonej gwiazdy Kremla, zatruwając zawsze wierną Chrystusowi Polskę fałszywą, publicznie przez Kościół potępioną doktryną.

Nie przez bramę wchodząc wdzierają się inną drogą do Owczarni owiec. O takich to Pan Jezus mówi jako o „złodziejach i zbójach" (Jan 10, 1). „Usta ich wypełnione są szumnymi słowami, a dla korzyści podziwiają innych" (Jud. 16).

Od ich przewrotności uchroń nas, Panno Wierna. Gwiazdo zaranna, przyćmij blaskiem Swoim te „zbłąkane gwiazdy" (Jud. 13), ażeby nie zwodziły narodu na pustynne manowce. Matko Najświętsza, wzmocnij serca, oświeć dusze, ratuj Naród, a nie tylko Kościół nasz, ale i kultura i dzieje nasze śpiewać Ci będą hymn chwały.

Także i nam, wygnańcom, bądź drogowskazem prawdy, abyśmy to co usty głosimy sumiennie wykonywali. A może jeszcze więcej niż braciom w Kraju potrzeba nam Twej pomocy wśród zła, które w inny sposób zagraża nam wśród obcych. Samoobrona jaką wybrał Kraj w przepełnionych kościołach, udział rodziców na naukach katechizmu, którego potem w domu uczą dzieci, manifestowanie swych przekonań w publicznych pielgrzymkach i w misjach, pomoc materialna dla utrzymania kościołów i zakładów teologicznych, a przede wszystkim szczera współpraca z Duchowieństwem przy unikaniu tzw. opieki sekciarzy i zdrajców — oto przykład bijący od Polski maryjnej.

Bądź nam twierdzą, Matko Największa, bądź źródłem pokrzepienia, bądź nam ręką Bożą, której się chwytamy w pokusach i małoduszności.

Pod Twoją obronę uciekamy się — do Ciebie, Ucieczko grzesznych, śpieszymy. Życie, słodkości i nadziejo nasza, witaj!

III

Bracia Kochani! Któż z nas nie pragnąłby wyczarować uśmiechu radości na zranionym obliczu Matki Boskiej Częstochowskiej? Co sił w duszy starajmy się, ażeby 300-lecie Jej królestwa uczcić wdzięcznością, pokutą i modlitwą. Częstochowa niech będzie w nas i w sercach naszych. Z nizin egoizmu i grzechu wstąpmy na Jasną Górę miłości i cnoty.

Czcigodne Duchowieństwo rwie się do przygotowania tego wspaniałego obchodu historycznego. Proszę Najdroższych Księży, by zechcieli w Święto Zmartwychwstania Pańskiego, tj. w rocznicę Ślubów Jana Kazimierza zachęcić Wiernych do godnego udziału w naszym polskim roku jubileuszowym. Nawołuje nas do tego w Swym Liście Ojciec św. Pius XII, wyrażając Swe życzenie, „byśmy godnymi uroczystościami wspaniale uczcili pamiątkę pomocy, jaką nam użyczyła Bogurodzica Dziewica, Niezwyciężona Patronka Polski, czujna Strażniczka chrześcijańskiej wolności". Kto jeszcze nie spełnił obowiązku wielkanocnej spowiedzi, niech z nią nie zwleka, a poprawiwszy się z grzechów niech Komunię św. ofiaruje Bogu jako dar wdzięczności i błagania o dalszą nad wiernym Kraju obronę.

Główne święto nasze obchodzić będziemy 3 maja. I znów pamiętajcie, Najmilsi, najpierw o godnym obchodzie religijnym. Niech ruszą pielgrzymki do świątyń maryjnych, niech Polacy okażą publicznie swą cześć dla Królowej Narodu.

Twórzcie, Bracia, Komitety parafialne i obywatelskie dla tego wielkiego święta. Na obchody kościelne i na akademie zapraszajcie również władze duchowne i społeczne krajów pobytu waszego.

Ojcu św. Piusowi XII wysyłajcie z każdej akademii hołd wdzięczności za wspaniały List o Matce Boskiej Częstochowskiej. Pamiętajcie również w gorących modlitwach o naszym uwięzionym Księdzu Prymasie, wielkim czcicielu Matki Boskiej Częstochowskiej, który Jej cudowny obraz nosi w herbie Swoim i który na Jasnej Górze przyjął sakrę biskupią.

Czyńcie wszystko, co wam serce i umysł każą, ażeby rozjaśnić zasmucone oblicze Matki Najświętszej i Kraj miłością swoją pokrzepić.

Choć góry i morza nas dzielą, Królowa nasza łączy nas ponad wszystkie kontynenty. Poprzez wraże zasadzki i przez błędne ognie zaprowadzi Naród nasz do zwycięstwa Ta, która jest nadzieją ziemi i postrachem piekieł. Jej więc śpiewajmy chwałę i cześć.

Amen.

+ Józef Gawlina
Arcybiskup

*

SKŁADAJMY PODPISY

POD ADRESEM JUBILEUSZOWYM DO OJCA ŚW.

Na początku marca roku bieżącego odbędą się w Rzymie uroczystości dla uczczenia 80-lecia urodzin Ojca św. Piusa XII. W hołdzie, który w tym czasie składać będą Ojcu św. katolickie narody świata, nie może zabraknąć przedstawicielstwa Polski. Powstała w tym celu polska organizacja obchodu jubileuszowego, do której wchodzą przedstawiciele duchowieństwa i najszerszych kół społeczeństwa polskiego. Przewodnictwo Komitetu Honorowego objął J. E. ks. arcybiskup J. Gawlina, prezesem Komitetu Ogólnego jest gen. W. Anders, a Komitetu Wykonawczego — prezes J. Baliński-Jundziłł.

W ścisłym współdziałaniu z władzami duchownymi opracowywany jest program uroczystości papieskiej. W kościołach polskich odprawione zostaną w dniu 4 marca bież. roku uroczyste nabożeństwa z tej okazji. Przygotowywane są specjalne zebrania i akademie.

Organizatorzy obchodu podjęli akcję zbierania podpisów Polaków i Polek na terenie Wielkiej Brytanii pod specjalnym adresem jubileuszowym, który złożony zostanie Ojcu św .w dniu Jego urodzin.

Składajmy wszyscy podpisy pod adresem jubileuszowym do Ojca Świętego, aby ich było z polskiej strony jak najwięcej.

JADWIGA OTWINOWSKA

SIOSTRA AGATA

OPOWIADANIE Z CYKLU „LUDZIE SPOTKANI W DRODZE"

1

Siostra Agata weszła do celi raźnym krokiem. Suknia zakonna szumi na niej fałdami, okrągły czepek przekrzywiony z fantazją na bakier, na zarumienionych od mrozu policzkach dwa dziecinne dołeczki uśmiechu.

Tobołki, tobołeczki, zawiniątka jakieś złożyła u progu, machinalnie odwróciła głowę w kierunku drzwi. Eskortujący żołnierz zamknął je hałaśliwie, słychać było zgrzyt klucza w zamku.

Siostra Agata odwróciła głowę. Objęła wzrokiem ściany, szare od nagromadzonego na nich kurzu i pajęczyny i siedzące na barłogach pod ścianami postacie, na które sączył się z maleńkiego, umieszczonego pod sufitem okienka, szary mrok zimowego popołudnia.

Nie robiła wrażenia przygnębionej tym widokiem, choć zapewne nie przypominał on niczym pełnej modlitewnego spokoju przystani, z którą zżyła się od wczesnych lat młodości: białej celi z klęcznikiem i wizerunkiem Chrystusa, z oknem wychodzącym na ogród klasztorny.

Zmęczona drogą i dźwiganiem bagażu odetchnęła, głęboko wciągając do płuc powietrze przesycone potem i wyziewami stojącego w rogu „kibla".

— To gdzie tu będzie dla mnie miejsce, moje panie? — rzuciła przed siebie niemal wesoło.

Czterdzieści par oczu wlepia się w nowoprzybyłą lustrując jej zażywną postać, pełne rubasznego wdzięku ruchy, uśmiechniętą twarz okoloną śnieżną falbanką czepeczka.

— Czemu ta się tak cieszy? — szepce do mnie Staśka. Staśka oczywiście jak zawsze lubi stwierdzać fakty.

Z siennika wstaje „mamasza", podchodzi do drzwi na powitanie gościa. Witanie „nowych" należy do jej obowiązków jako gospodyni celi. Gdyby nawet nią nie była, pewnie robiłaby to samorzutnie, bo to już taka natura, że każdym się musi zająć, każdemu pomóc, doradzić, o każdego się troszczyć jak matka. Dlatego nazwałyśmy ją „mamaszą". I dlatego, że zaciąga z rosyjska śpiewnością kresowego dzieciństwa.

Mamasza pomaga siostrze przenieść tobołki, wskazuje wolny siennik, chce ją zagospodarować na nowym miejscu, zabawia rozmową.

Przede wszystkim chce wiedzieć, za co siostra się tu dostała. To pytanie zadaje każdej nowoprzybyłej. Spodziewa się trafić na taką, która podobnie jak ona nie wie za co została aresztowana.

Ale siostra Agata wie. — Za wiarę — odpowiada z odcieniem dumy w głosie. Promieniuje z niej zadowolenie człowieka manifestującego swój udział we wspólnej ofierze. Obejmuje siedzące pod ścianami postacie wzrokiem zdającym się mówić: „Nie martwcie się, nie wy jedne. Widzicie? I ja tu jestem z wami, siostra Agata Potempówna".

Otaczamy ją półkolem. Spragnione wieści ze świata, prosimy, żeby opowiadała o sobie, tak jak każda jej poprzedniczka. To zastępuje nam teatr, kino, książkę.

Siostra Agata nie daje się prosić. Lubi widać opowiadać, lubi być ośrodkiem zainteresowania. Uważa pewnie również za swój obowiązek przedstawić się, żebyśmy wiedziały z kim los związał nas na długie miesiące, kto wie, może na lata.

A więc dzieciństwo w zapadłej małopolskiej wiosce. Pewnie do dziś nie jeden tam pamięta wesołą, robotną Agatkę, co to w polu nie ustępowała najtęższym parobkom siłą i zręcznością. — Dziewczyna do tańca i do różańca — mawiały o niej sąsiady. Bo też żadna tak jak ona nie śpiewała w kościele, żadna nie potrafiła tak pięknie przystroić ołtarza i żadna nie wytańcowywała tak do upadłego na weselach i wieczorynkach.

Młodziutką chcieli za mąż brać, ale los zrządził inaczej. Chora matka ślubowała Bogu, że jeśli wyprowadzi ją z ciężkiej choroby, odda jedynaczkę do zakonu. Bóg próśb wysłuchał i powieźli Agatkę mimo płaczu i sprzeciwów do klasztoru sióstr służebniczek.

Z początku ciężko było i smutno, ale potem przyzwyczaiła się, a wreszcie rozmiłowała w służbie Bogu i ludziom. Ręce pełne roboty od rana do wieczora, to i czasu nie było na rozmyślanie o innym losie. Siostry lubiły swoją najmłodszą, tak jak niegdyś lubiano ją we wsi. Po latach Bóg wyznaczył jej nagrodę. Stanowisko kierowniczki ochronki to zaszczyt nie lada jak dla Agatki z małopolskiej wioski. Ile się trzeba było naużerać z chłopami, ile nachodzić koło dziedzica, koło księdza proboszcza, żeby zdobyć kawałek gruntu, trochę inwentarza. Do samego starosty jeździła, do różnych komitetów, żeby uzyskać fundusze dla swoich sierotek. Walczyła zawzięcie aż wreszcie stanęła na pewnych nogach. Sam biskup pochwalił podczas wizytacji wzorową gospodarkę, zdrowy wygląd dzieci prowadzonych troskliwą, energiczną ręką. I wreszcie zapłata za trudy i starania: miłość i szacunek dzieci, mir w całej wiosce. Gdy komuś potrzebna była dobra rada, to jak w dym do siostry Agaty. Nic dziwnego, że kiedy nastąpiły aresztowania, zabrano w pierwszym rzędzie osoby najważniejsze: księdza proboszcza, wójta, nauczyciela i kierowniczkę ochronki.

I tak oto w lutym 1940 roku przybyła do celi Nr 54 więzienia tarnopolskiego nowa mieszkanka. Pobyt w więzieniu uważała siostra Agata niejako za przeniesienie na nową placówkę, za dalszy ciąg pracy dla Boga i ludzi, toteż już nazajutrz po przybyciu rozpoczęła rządy niczym w swojej ochronce. To zrobimy tak, a tamto inaczej. To musimy zmienić, bo jest źle, tamto trzeba poprawić. Sienniki będziemy zwijać na dzień, żeby było więcej miejsca, kibel powinien stać w tamtym rogu, miotła w tym. Energiczna kierowniczka ochronki przyzwyczajona do posłuchu, natrafiła jednak na niespodziewany opór. Starsze od niej o kilka miesięcy doświadczeniem, zdołałyśmy ująć życie więzienne w pewne normy. Początkowo różnie tam bywało. Różnice wieku, charakterów, środowiska powodowały starcia, a nawet kłótnie. Potem wszystko się jakoś utarło, silniejsze indywidualności wzięły górę nad słabszymi, ustanowiono niepisane prawa, opracowano regulamin, program dnia. Z biegiem czasu przystosowałyśmy się do tego, co „wolno" i czego „nie wolno".

Przepisy zmierzały ku jednemu: nie dać się, nie okazywać przygnębienia, pobyt w więzieniu traktować jako stan przejściowy, wierzyć w lepsze jutro. Bogaty program dnia nie zostawiał wiele czasu na rozmyślania o smutnym losie. Codzienna pogadanka pani doktór, opowiadania przeczytanych książek, widzianych niegdyś filmów i sztuk teatralnych, chóralne śpiewy, przepisy kulinarne — czego tam nie było? W dniu Święta Niepodległości uroczysta akademia, innym znów razem wesoła rewia ku zgorszeniu niektórych babinek.

Gdy komuś zbrzydły pogadanki, filmy, książki i śpiewy i odsunąwszy się od innych chciał się wypłakać gdzieś w kącie, chór zgodnych głosów intonował wesołą piosenkę, albo skandował tak długo: „Nie wol-no pla-kać", że znudzona tym płaczka przestawała się roztkliwiać nad sobą.

Pogawędki z dyżurnymi, często poczciwymi Waśkami czy Andriuszami były surowo potępione. Obowiązywała jednolita postawa wobec wroga: wyniosłość i lekceważenie. Paczki z domu podlegały ścisłej kontroli więziennego społeczeństwa. Połowa dla właścicielki, reszta do podziału. Napróżno stara Wodiukowa, skąpiradło wstrętne, starała się ukryć swoją pod siennikiem. Wyciągaj, babo, i daj choć najsłabszym. Nawet sen był ujęty w karby regulaminu. Do północy na prawym boku, od północy na lewym. Nie pomogły tłumaczenia pani Hanki-wygodnisi, że w domu przyzwyczajona spać na wznak. Trudno, trzeba się odzwyczaić.

I oto nagle zjawia się ktoś, kto chce ten porządek rzeczy wywrócić do góry nogami.

— Czemuż to nie pozwalacie dziecku wypłakać się? Ulży jej to. A wy tu ze swoimi głupimi piosenkami... — huczy siostra Agata.

— A cóż to? — broni się innym razem przeciwko niezrozumiałym dla niej przepisom. — Nie wolno mi porozmawiać z człowiekiem? Czyż to on nie chrześcijanin, tak jak my? Cóż temu winien, że czart nim rządzi?

I tak we wszystkim sprzeciwy. A to: „nie proście jej, jak nie chce dać", a to „niech sobie leży jak jej wygodnie".

Z początku starałyśmy się wyjaśnić siostrze pewne rzeczy, ale widząc, że argumenty nasze trafiają w próżnię, zastosowałyśmy ostrzejsze metody. Prym w wykłócaniu się z siostrą wiodła młoda nauczycielka, Hela.

— To dla jej dobra — mawiała — trzeba otworzyć oczy tej „ubogiej duchem".

Dobrotliwa „mamasza" w walce o rządy w celi, należące do tej pory niepodzielnie do niej, też zaczęła pokazywać pazurki. Dochodziło do kłótni, niekiedy nawet do awantur. Siostra poczuła się prześladowana, gnębiona. Helę i „mamaszę" uważała za swych osobistych wrogów.

Pewnego dnia zerwała się w celi istna burza. Szła walka o miotłę. „Mamasza" do siebie, a siostra do siebie. A z boku podżegacze:

— Nie dać jej! Co się tu będzie rządzić!

Siostra, podniecona nieżyczliwością otoczenia, walczy rozpaczliwie już nie o miotłę pewnie, a o swój autorytet zakonnicy.

Ale właśnie autorytet siostry zostaje mocno zachwiany z winy owej miotły. Bo oto „mamasza" wywijając miotłą, zaczyna walić nią siostrę po nogach. Siostra w krzyk. A kibice:

— Brawo „mamasza"! dobrze „mamasza"!

Osamotniona kierowniczka ochronki, nie znajdując oparcia w celi, chwyta się ostatecznej deski ratunku: postanawia szukać sprawiedliwości poza celą, u władzy. Tarabani pięściami w drzwi, wzywa dyżurnych.

— Mnie tu biją! — woła drżąc z żalu i oburzenia — mnie, siostrę Agatę Potempównę!

Schodzą się dyżurni, zwabieni krzykiem, wpada czupurny sierżant o krostowatej gębie, toczy się na pałąkowatych nogach, pełen nadętej godności sam zastępca naczelnika. Ustawiają nas w dwuszereg, pytają co się stało. Siostra Agata wzburzona, z wypiekami na twarzy, przedstawia sprawę głosem nabrzmiałym łzami. Rozindyczona, mówiąca po rosyjsku z polsko-ukraińska, rozśmiesza surowych potentatów więziennych.

— Mnie tu biją — skarży się bezsilnym głosem dziecka, ja mam świadków!

A my chórem:

— Nie ma świadków!

Więc siostra znów:

— One kłamią. Biły mnie. To wy mnie nie bijecie, a one biją. Ja mam świadków.

A my znów okrutnie:

— Nie ma świadków.

Nagle widzimy, że brzuch pałąkowatego zastępcy zaczyna podrygiwać, a z gardła wydobywa się wesoły rechot. Zachęcony przykładem władzy śmieje się sierżant, za sierżantem dyżurni. Pośmiali się, pożartowali, nagadali dowcipuszków, poklepali siostrę Agatę po ramieniu i poszli.

Dopiero wtedy burza w celi. Jak siostra mogła skarżyć się bolszewikom?! Jak cela celą tego tu jeszcze nie było! A jak wyście mogły bić osobę duchowną? I jeszcze grzech ściągać na sumienie kłamstwem.

— Stała się rzecz, której nie możemy puścić płazem — przerwała dyskusje pani Maria, seniorka naszej celi. — Jest wśród nas sporo młodych dziewcząt, którym my, starsze, powinnyśmy świecić przykładem. Proponuję sąd nad siostrą Agatą.

— Ha, ha, ha — wybucha nerwowo siostra. — Sąd nade mną, a to dobre! Pani Maria, zdawałoby się mądra osoba, a takie głupoty opowiada.

Pani Maria puszcza mimo uszu uwagę siostry, zbiera na swoim barłogu co przedniejsze pyskaczki, przystępuje do dzieła.

Po długich naradach, szeptach, namawianiach, odbywa się pamiętny w dziejach naszej celi SĄD NAD SIOSTRĄ AGATĄ!

Funkcję przewodniczącej składamy jednomyślnie w ręce pani Marii, rolę prokuratora godzi się objąć młoda Ukrainka — Nadia, zachodzi tylko obawa, czy ktoś podejmie się obrony. Obawę tę rozwiewa Hela.

— Ja będę bronić siostry — decyduje krótko.

Gdy prokurator rozpoczął mowę oskarżycielską, monolog zamienił się po chwili w dwugłos. Siostra Agata siedząc na posłaniu z robótką na kijkach z miotły zastępujących druty, zasila hojnie potok wymowy swego prześladowcy. Z jednej strony padają słowa uzmysławiające słuchaczom, do jakiej ostateczności musiała zostać doprowadzona „mamasza" i jak niewspółmierny z jej przestępstwem (lekkim trąceniem w nogę) był szkaradny czyn siostry — donos na swoich do wrogów, z drugiej strony, znad drutów z nieszczęsnej miotły dolatuje monotonny głos siosty, powtarzającej w kółko: „Patrzcie! Smarkule! One mnie sądzić będą, mnie siostrę Agatę! A to dobre! Postukajcie się palcem w głowę".

I znów z małymi odmianami to samo.

(Ciąg dalszy na str. 2)

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Oskarżyciel skończył druzgocącą przemowę żądaniem najsurowszego wymiaru kary.

Teraz ukazuje się na widowni Hela-obrońca. Na twarzy siostry Agaty występują silniejsze wypieki. Oto, w jej przekonaniu wróg, który chce ją zgnębić ostatecznie. Ale ona się nie da, o nie! Już nabiera oddechu, żeby uzbroić się w tarczę słów przeciw pociskom napastnika, gdy nagle krtań nieposłuszna tamuje im drogę. Siostra Agata opuszcza robótkę na kolana i słucha. Słucha znanego, a tak w tej chwili nowego opowiadania o wiosce rodzinnej, o robotnej, wesołej Agatce, ulubienicy wioski. Słucha o siostrze Agacie, oddanej służbie Bogu i ludziom, o borykaniu się z trudnościami dla dobra sierot. Twarz Heli poważna, skupiona, twarz siostry Agaty cała w zasłuchaniu. Hela mówi dalej o atmosferze szacunku i miłości ludzkiej, w jakiej żyła dobra, energiczna kierowniczka ochronki. I oto wyrwano ją z tej gleby, w którą wrosła korzeniami, przeniesiona w inne warunki, gubi się w nich, rady sobie dać nie może.

Trzeba jej podać rękę, aby nie czuła się niepotrzebnym chwastem, rzuconym na drogę. Chce być potrzebna, chce znaleźć ujście dla swej czynnej natury — wyjdźmy jej naprzeciw. Postąpiła źle, to prawda, ale zanim wydamy na nią wyrok, uderzmy się w piersi w poczuciu własnej winy.

Ja, jako najwinniejsza, uderzam się pierwsza — kończy swą przemowę obrońca.

Siostra Agata znów bierze się do przerwanej robótki. Dłubie w zamyśleniu, to pruje, to znów nawija.

Sąd po krótkiej naradzie wydaje wyrok nakazujący „mamaszy" przeprosić siostrę i wzywający obie strony do pogodzenia się. Siostra, zwykle gadatliwa, przyjmuje pocałunek przeciwniczki w milczeniu.

Ciszę, panującą w celi przerywa zgrzyt klucza w zamku. Wjeżdża kocioł z zupą. Chwytamy miseczki i ustawiamy się w kolejkę. Kto dostanie trochę gęstego, a kto samą „pachlopkę" — to teraz zagadnienie najważniejsze.

Tak się złożyło, że tego dnia siostra Agata dostała w zupie kartofel i to nie byle jaki. Zwykle ta, którą spotkał los tak szczęśliwy, likwidowała szybko niespodziewany naddatek, aby nie drażnić otoczenia. Siostra Agata usiadła na posłaniu z miską na kolanach. Nie jadła. Rozważała coś w skupieniu. Westchnęła głęboko, postawiła miskę na podłodze, wyjęła z niej łyżką kartofel i wolno, ostrożnie, aby nie upuścić, podeszła z nim do posłania Heli. Włożyła kartofel do zupy i lekko, jakby się pozbyła ciężaru, wróciła bez słowa na miejsce.

— Ale Helka zafasowała fajny „barabol", no nie? — stwierdziła z zadowoleniem i domieszką zazdrości mała Staśka. — A i zupy ma więcej niż my.

— Zupy ma tyle samo, co my. Jedną chochlę — wyprowadzam ją z błędu.

Staśka ukazuje zęby w szerokim uśmiechu.

— A te łzy, co jej ciurkiem z oczu do miski lecą, to się nie liczą?

2

Nie minął tydzień, a siostra Agata znów stała się bohaterką chwili. Zdarzyło się to w dniu, kiedy cała piętnastka zatruła się chlebem. Właściwie wiło się w boleściach i jęczało siedemnaście, ale wszystkie byłyśmy pewne, że stara Wodiukowa udaje, a na Staśkę też padało grube podejrzenie, bo wiadomo, zawsze lubiła zwracać na siebie ogólną uwagę.

Chleb nie podobał się nam od razu. Był inny niż zawsze, wilgotny jakiś, gliniasty, a przy dzieleniu na części wysnuwały się z miąższu jakby nitki pajęcze.

— Nie jedzcie tego chleba — ostrzegała siostra Agata — to spleśniały chleb, znam się na tym. Nie daj Boże, nieszczęście gotowe.

— A co będziemy jadły? Kiełbasę? — odburknęła gruba Haśka. — Dobra sobie siostra ze swoimi pomysłami. Nie jeść chleba, też coś.

— Może by zamienili — nie dawała za wygraną siostra — trzeba by ich poprosić.

— Już widzę jak zamieniają na kajzerki z masłem — kpiła Haśka opychając się chlebem. Zapewniała nawet, że jej ten chleb smakuje.

Pomysł reklamacji upadł jako nierealny, pozostawała decyzja: jeść czy nie jeść.

Tylko trzy, czy cztery nie uległy pokusie, reszta, choć pod strachem, zabrała się do jedzenia.

— No i co mi się stanie? — brawurowała Staśka. — Powiedzą: „Wot padochła" i koniec. A w domu będzie jedna gęba mniej do jedzenia.

— Zamknij się i nie strugaj tu bohaterki — ofuknęła ją trzeźwa Hela, skubiąc w zamyśleniu swój „pajok".

Pierwsze boleści chwyciły panią Hankę, pewnie dlatego, że miała najdelikatniejszy żołądek, gdyż jak opowiadała, jadała zawsze wszystko świeżutkie, lekko strawne i na młodym masełku.

Z kolei dawały się słyszeć jęki z coraz innego kąta.

Nie wszystkim jednak zaszkodził spleśniały chleb. Haśka czuła się świetnie i rozglądała dokoła z miną równie triumfującą jak głupią. Siostra Agata chodziła od jednej chorej do drugiej, prowadząc na zmianę do kibla.

— Włóż sobie, moje dziecko, dwa palce do gardła i spróbuj zwrócić, będzie ci lżej — radziła dobrotliwie. — A wy, czemu siedzicie jak capy? — huknęła na naszą gromadkę, zastygłą w bezradności. — Radźcie coś, tu trzeba doktora, tu trzeba ratunku. „Mamasza", ty taka mocna w ruskim i mocna w gębie, wołaj tam pomocy!

Ale konferencja „mamaszy" z dyżurnym nie dała rezultatu. Rzucił znane nam już „nie padochnietie" i zamknął drzwi na klucz.

Chore widząc, że są pozbawione pomocy, płakały teraz nie tylko z bólu, ale i z bezsilnej złości.

— Kibel pełny — martwiła się siostra Agata — idź no Haśka, zastukaj na dyżurnego, żeby pozwolił wylać.

— „Niepier nie wriemia" — padła odpowiedź zza drzwi.

— Co teraz będzie? — jęknęła któraś z chorych. — Ja muszę na kibel.

— Co teraz będzie? Zobaczycie co będzie. Widzę, że mnie jeszcze nie znacie.

Siostra Agata ujęła energicznie kibel w obie ręce i jakby nie czując jego ciężaru, podeszła z nim do progu. Postawiła kibel na podłodze, a sama zaczęła walić pięściami w drzwi jak przed kilkoma dniami, kiedy wzywała pomocy dla siebie. Ledwie dyżurny zdążył drzwi uchylić, jeszcze nie zapytał o co chodzi, a już siostra chwyciwszy kibel wypadła jak furia na korytarz. Przez chwilę słychać było dyszkant i bas, odgłosy szarpaniny, wreszcie tupot nóg dyżurnego, powracającego, aby zamknąć drzwi, oddalające się kroki siostry i znów w trop za nimi stukot sołdackich butów, a potem długa chwila ciszy.

Nadsłuchujemy przy drzwiach. Cisza.

— Jak nic wzięli siostrę do karceru — kracze pesymistycznie „mamasza". Staśka wybucha histerycznym krzykiem. Musi na kibel, bo jak nie, to na podłogę i ładnie będziemy wyglądały.

Gdzieś z końca korytarza dolatuje hałas, jakby kłótnia jakaś i wreszcie znów odgłosy zbliżających się kroków. Umykamy na miejsca.

Zgrzyt klucza w zamku i w drzwiach ukazuje się promiennie uśmiechnięta siostra Agata potrząsając kiblem na znak, że pusty, a za nią wtacza się na pałąkowatych nogach „władza" w towarzystwie lekarki w wykrochmalonej bieli.

Po zbadaniu co i jak, chore odmaszerowują do szpitala więziennego, a siostra otrzymuje na pożegnanie ostrzeżenie:

— A ty monaszka nie walaj duraka!

Ale siostra nic nie rozumie, nie wie co to takiego „nie walaj" i co znaczy „durak". Jest szczęśliwa i wciąż się uśmiecha i do nas i do lekarki i do „władzy".

Od czasu historii z kiblem poddałyśmy się dobrowolnie i niejako automatycznie despotyzmowi siostry Agaty. Trzeba jej przyznać, że starała się po swojemu przystosować do naszego regulaminu, ale w gruncie rzeczy rządziła nami jak swoją ochronką.

Do programu dnia przybyły teraz dłuższe niż poprzednio poranne i wieczorne modlitwy, miejsce historii o bladych hrabinach zajęły opowiadania siostry o troskach i radościach życia klasztornego, o wydarzeniach powszedniego dnia. Roztaczała przed nami obraz nie sięgającego poza kościółek wioskowy, maleńkiego światka, zaludnionego prostymi ludźmi, wypełnionego drobnymi wydarzeniami, mającymi przecież swoją ważność, ważność kółeczek w skomplikowanym mechanizmie życia.

Pani Doroszowa, specjalistka od brukowców z cyklu „Co tydzień powieść", dotknięta początkowo odsunięciem w cień wytwornych donżuanów, uwiedzionych ofiar, tajemniczych morderców, uległa z czasem urokowi prostych opowiadań, których bohaterami byli: wiejski proboszcz, pracowite siostry zakonne, nieustępliwi chłopi, swarliwe baby, gromada sierotek.

Pani Doroszowa przyznawała siostrze wielkodusznie „dar narracji" i „swadę". — Dziw — mawiała wielbicielka brukowej powieści — jak ta uboga duchem kobieta potrafi tchnąć rumieniec życia w pospolitość i powszedniość, obok której człowiek przechodził mimo, nie zwracając uwagi.

— Sic! — wykrzykuje Hela tajemniczo, nie wyjaśniając, czy to „sic" odnosi się do siostry, czy do pani Doroszowej.

Hela jak dawniej przekomarzała się z siostrą, która teraz nie tylko nie czuła się tym dotknięta, ale w wielu wypadkach uważała Helę za autorytet i zasięgała jej rady.

— Panno Helu — pyta któregoś dnia dłubiąc robótkę na drutach z miotły — a z czego powstaje wesz?

Hela rozpoczyna uczony wykład, wyjaśnia po nauczycielsku jak dziecku.

— Eee — przerywa siostra nieufnie — przecież wesz powstaje z brudu.

Hela tłumaczy, że brud jest tylko podłożem, sprzyjającym rozwojowi wszy. Siostra słucha uważnie.

— A pchła? — pyta po chwili.

Więc Hela znowu wyjaśnia cierpliwie analogię powstawania żywych organizmów.

— I pluskwa? — upewnia się siostra.

Nauczycielka traci cierpliwość.

— I stonoga, i pająk, i szczypawka — wybucha.

— I karaluch — dodaje spokojnie uczennica, na znak, że zrozumiała.

— I karaluch i prusak — mówi łagodnie udobruchana Hela. I znów panuje zgoda.

Do poważniejszej sprzeczki doszło z powodu króla Dawida, a ściślej biorąc z powodu błędnie stawianej kropki w psalmie Dawidowym.

W interpretacji siostry brzmiało to tak: „ Aniołom swoim każe cię pilnować, gdziekolwiek stąpisz oni cię piastować." Tu siostra robiła dłuższą przerwę, a następnie zaczynała nowe zdanie: „Na ręku będą, abyś idąc drogą na ostry kamień nie ugodził nogą".

Więc oczywiście Hela, jak to zawsze Hela, lubi wszystko wyprowadzać „na czyste wody", przeprowadza logiczny rozbiór zdania, tłumaczy dokładnie, łopatą do głowy, dlaczego tak, a nie tak. Siostra jest wzburzona, nawet słuchać nie chce.

— Patrzcie ją, mądra nauczycielka, będzie tu króla Dawida poprawiać. Król Dawid był mądrzejszy od panny Heli.

Hela upiera się przy swoim.

— Daj spokój — stara się godzić pani Maria. — Widzisz jak siostra modli się szczerze i żarliwie. Jakaś tam głupia kropka. Czy to ważne?

W warunkach, w jakich żyłyśmy, to naprawdę było nieważne: i ta kropka i wiadomości z biologii i wiele innych mądrości, którymi górowałyśmy nad kierowniczką wiejskiej ochronki.

Któż bowiem potrafił tak jak ona przelewać w innych swą gorącą wiarę w Opatrzność Boską, kto posiadał w tym stopniu co ona dar krzepienia serc modlitwą, budzenia potrzeby modlitwy?

Każda z nas otrzymała od niej różaniec misternie ulepiony z więziennego chleba, nanizany na powyciągane z tobołków kolorowe nitki, z oblepionym chlebem krzyżykiem z przełamanej na pół zapałki. Różańce te przewędrowały z nami kawał świata. Jedne zagubiły się gdzieś w drodze, inne spoczęły wraz z ich właścicielkami pod śniegami Kazachstanu, inne jeszcze przejechały lądy i morza i zawisły jako wota na ołtarzach lub spoczęły na dnie skrzynek z pamiątkami.

— Nie lubię odmawiać różańca — przyznała się kiedyś szczerze Staśka. — To takie nudne klepać jedno i to samo. Lubię się modlić, kiedy przyjdzie natchnienie.

— Nie można tak mówić, Stasiu — tłumaczyła łagodnie zakonnica. — Różaniec, to najpiękniejsza modlitwa. To przecież wieniec z róż dla Matki Bożej. Jak Stasia plecie wieniec z róż dla kogoś bardzo ukochanego, to czy Stasia zastanawia się, że wszystkie róże jednakowe? Nie, tylko Stasia je wplata i wplata, a z każdą różą wplata Stasia swoją miłość, swoje serce. Chodź tu, dziecko, odmówimy różaniec na intencję mamusi, co tam biedaczka została sama i oczy za tobą wypłakuje.

Staśka siadała przy siostrze z różańcem w ręku. Odmawiała go często i później, gdy już siostry nie było w celi.

Sprawy rodzinne swoich towarzyszek niedoli znała siostra Agata tak dokładnie, jak żadna z nas. Każdą po kolei wypytywała życzliwie o dom, o rodzinę. Segregowała w pamięci fakty, daty nigdy nie pomyliła imion.

— Chodź no tu, moje dziecko — zwracała się do tej czy owej — dziś zdaje się imieniny twojego męża, pomodlimy się na jego intencję.

Niektóre podchodziły same, przypominając o imieninach członków rodziny, o rocznicach śmierci. Modlitwa z siostrą nabrała ważności nabożeństwa, odprawianego w kościele za najbliższych.

Tylko Ceśka nie chciała się modlić za swoich rodziców. Za Ceśką przyszła do celi fama, że to „taka z ulicy". Z tej racji pani Hanka, należąca do tarnopolskiego high life'u uważała za stosowne przenieść się o dwa sienniki dalej. Uzyskała zmianę miejsca za cenę nocnej koszuli, ofiarowanej Haśce. Haśka, rada z pierwszej w życiu „nicznoj soroci" nie tylko przeniosła się do Ceśki, ale zaprzyjaźniła się z nią na dobre. Wszystkie zresztą polubiłyśmy Ceśkę, siedemnastoletnie, szczebiocące jak ptaszek stworzenie, wścibiające wszędzie swój zadarty nosek, cwane i zepsute, często dziecięco naiwne i z gruntu dobre dziecko tarnopolskiej ulicy.

— Co się tam mam modlić za ojca pijaka, co tylko mnie bił i bił i za matkę co uciekła z kochankiem. Nic im ta modlitwa nie pomoże, a zresztą i tak Pan Bóg mojej modlitwy nie wysłucha.

— Wysłucha, Cesiu, wysłucha — upewniała siostra Agata. — Pan Bóg słucha każdej modlitwy. I na pewno twoja modlitwa pomoże rodzicom, a może ich zawróci ze złej drogi. Niezbadane są wyroki Boskie, a modlitwa dziecka wiele może. Nie należy tak źle myśleć o rodzicach, rodziców trzeba kochać i szanować.

— Szanować takich rodziców? — Ceśka wybuchnęła śmiechem, jak gdyby usłyszała dobry dowcip.

— Widzisz dziecko — ciągnęła siostra Agata — Pan Bóg nie powiedział: „Czcij szlachetnego ojca i uczciwą matkę", tylko powiedział: „Czcij ojca twego i matkę twoją". Tak powiedział Pan Bóg i trzeba Go słuchać. To nie sztuka kochać kogoś za dobroć. Rodziców kocha się takimi jacy są, choć chciałoby się nieraz może widzieć ich innymi. Kocha ich się i szanuje, bo są rodzicami i koniec.

Proste rozumowanie siostry nie zdołało jednak przekonać Ceśki. Powoli wszakże udało się siostrze wyciągnąć ją na zwierzenia. Wyszły na jaw zagubione dawno w pamięci fakty: pomarańcze przynoszone przez ojca w chorobie, wspólne wyprawy na karuzelę w „wesołym miasteczku", do cyrku, to znów wyjazd na wieś, do rodziny. Ceśka wyłuskiwała z pamięci coraz to nowy szczegół. A to kupione na odpuście korale, a to przywiezioną ze Lwowa lalkę.

— A widzisz — cieszyła się siostra Agata, — oni nie byli tacy źli, tylko nieszczęśliwi. Módl się za nich.

Któregoś wieczoru zobaczyłyśmy siedzącą obok siostry Ceśkę przesuwającą paciorki różańca i szepcącą słowa modlitwy.

Miesiące mijały za miesiącami, przeszła zima, nadeszła wiosna.

Z nadejściem wiosny siostrę Agatę zaczął ogarniać coraz to większy niepokój o powierzone jej pieczy sierotki, o ogród, gospodarkę, inwentarz.

— Czy też siostra Józefa da sobie z tym wszystkim radę? — martwiła się. — Dobra kobieta, tylko mało energiczna, tam trzeba mojej ręki, a tak, zmarnieje wszystko.

— Ale oni chyba mnie niedługo wypuszczą — snuła marzenia. — Po cóż mieliby tu mnie zatrzymywać, na nic im się nie przydam, nic tu po mnie. Chciałabym tylko jeszcze Wielkanoc spędzić razem z wami, a potem poproszę naczelnika, żeby mnie uwolnił. To jeden ludzki człowiek pośród tej zgrai. A niech się tylko dostanę na wolność, nie bójcie się, nie zapomnę o was, trafię do kogo trzeba. Miałyście przykład z kiblem i z lekarką.

„Ludzkiego" naczelnika nie przekonały jednak argumenty siostry Agaty, gdyż przetrzymał ją w celi nr 54 aż do Bożego Narodzenia 1941.

W tym czasie zaszły duże zmiany: z pierwszej czterdziestki zostało nas około dziesięciu, stare ubywały, na ich miejsce przybywały nowe. Na „doprosy" wzywano coraz rzadziej, wybili z nas co mieli wybić; z nowych wracały najczęściej ze śledztwa z posiniaczonymi plecami — Janka — za udział w powstaniu czortkowskim i Łesia, Ukrainka — za należenie do O.U.N.

Coraz częściej wchodził do celi żołnierz od wywoływania „na bukwu"... Wiedziałyśmy co oznacza: „dawaj z wieszczami". Tylko siostra Agata wierzyła, że wywoływane idą na wolność i cieszyła się jak dziecko. Każdej wychodzącej dawała dziesiątki poleceń, jak ma działać na wolności, każdą prosiła o zamówienie Mszy św. na intencję pozostałych, każdą zapewniała, że nie zapomni o niej w modlitwach.

— A jak ci będzie ciężko, szukaj pociechy w Bogu — przypominała na odchodnym. — A pamiętaj o odmawianiu różańca. I wspomnij czasem o siostrze Agacie.

W ciągu kilku miesięcy pobytu w więzieniu siostra Agata straciła kwitnące rumieńce, blask oczu i kilkanaście kilogramów wagi. Nie straciła jednak nic z dawnej energii i wiary w lepsze jutro.

Z takim samym zapałem, z jakim przygotowywała na Wielkanoc „święcone" z chleba więziennego, zabrała się do przygotowań świątecznych w okresie Bożego Narodzenia.

— Czas już pomyśleć o choince — przypominała.

Zbierała skrzętnie czyste części waty z opatrunków, chowała jak skarb kawałek świecy, którą przyniósł do celi dyżurny w dniu, kiedy zepsuły się przewody elektryczne, uratowała przed wrzuceniem do kibla kawałek stanioli z przesłanej pani Hance z domu czekolady, sprawdzała, czy nie zginęły z pudełka trzy chowane od dawna zapałki.

W dniu wigilii choinka była gotowa. Smętna to była choineczka z więziennej miotły, sprawiła nam jednak wiele radości. Zielona włóczka ze starego swetra imitowała igły, na wierzchołku lśniła gwiazda ze stanioli, pod nią wystrzyżony palcami z papieru anioł, na gałązkach przyprószonych watą maleńkie jabłuszka i orzechy z chleba.

Umieszczona w kubku wypchanym papierem i przykrytym włóczką i watą, trzymała się dzielnie jak prawdziwa choinka. Siostra postawiła kubek na środku celi, a świeczkę przylepiła do podłogi.

Wpatrzone w okno czekamy na pierwszą gwiazdkę.

— Jest! jest! — woła Ceśka. — Jest — powtarzają za nią inne.

Dzielenie się chlebem-opłatkiem, a potem wieczerza wigilijna.

Wieczorna herbata zastępuje barszczyk, chleb zamienia się kolejno w różne gatunki ryb, w tarty mak z miodem, a wreszcie w kompot z suszonych owoców.

Po wigilii otaczamy choinkę. Siostra zapala świeczkę. „Bóg się rodzi, Moc truchleje" — intonuje pełnym głosem. Po chwili do głosów naszych dołączają się inne, męskie, dolatujące z dołu i jeszcze inne, kobiece, gdzieś z góry.

— Całe więzienie śpiewa kolędy — cieszy się siostra Agata.

Zgrzyt klucza w zamku i w drzwiach ukazuje się spod przekrzywionej na bakier czapki płowa czupryna i niebieskie oczy dyżurnego, przezwanego przez nas „Babka - Polka". Kiedyś zwierzył się nam w przystępie szczerości, że jego „babuszka" pochodziła z Polski.

— Kto zdieś pieśni zawodit? — stara się nadać głosowi surowe brzmienie. Siostra jest już przy drzwiach.

— Bóg się rodzi, rozumiesz człowieku? — mówi dobrotliwie.

— Boga niet! — odpowiada „Babka-Polka" bez przekonania i łypie ciekawym okiem na choinkę.

— Zdejmij czapkę — mówi łagodnie, ale stanowczo siostra, po czym rozpoczyna nową kolędę.

Chłopak zdejmuje machinalnie czapkę, wsłuchuje się w melodię śpiewanej pieśni, stara się pochwycić treść słów.

Na korytarzu słychać odgłosy kroków. Dyżurny nerwowo wciska czapkę na głowę.

— Prikratit' piesni! — ryczy donośnym głosem — i dawaj spat'!

Do celi wpada dwóch drabów. Jeden z nich depce bez słowa radość wieczoru — choinkę, drugi wrzeszczy:

— Kto adies zanimajetsja propagandoj?

— Agata Potempówna — odpowiada spokojnie siostra, wiedząc tylko tyle, że szukają głównego sprawcy.

— Ostaw eto dieło i dawaj spat! — rozkazuje „władza" i opuszcza z hałasem celę.

Chwilę trwa milczenie. Przerywa je głos siostry Agaty: „Gdy się Chrystus rodzi..." rozbrzmiewa znów cela.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia wszedł do celi żołnierz z kartką w ręce.

— Na bukwu „P"! — rzucił krótko.

— Potempówna — wyszeptała siostra poszarzałymi nagle wargami.

— Dawaj z wieszczami! — padło od drzwi.

Siostra rzuciła się do swych tobołków, a my do pomocy.

— Jak myślicie? — upewniała się pakując — czy idę na wolność?

Odpowiedziało jej milczenie i pochlipywanie Ceśki. Nikt nie miał serca karmić odjeżdżającej do łagrów złudzeniami.

— Opuszcza siostra więzienie, to już dobrze — zdobyła się na słabą pociechę Hela.

— No to niech was Bóg ma w Swojej opiece!

Chciała coś mówić jeszcze, ale widać zabrakło jej sił. Objęła wzrokiem celę, zrobiła szeroki znak krzyża, zebrała rzeczy gotowa do wyjścia. Nie rzuciła nam na pożegnanie uśmiechu, jakim przywitała nas przed kilkoma miesiącami, wychodziła z więzienia cicha, z pochyloną głową. Chwilę nadsłuchiwałyśmy odgłosu kroków na korytarzu. Ostatnie ich echo zagłuszył głośny płacz Ceśki.

3

„Wygruzili" nas na stacji Dniepropietrowsk ponad dwie setki. Strielki krzyczą, nawołują, każą się ustawiać w szeregi, żółte, kudłate pieski ujadają, szczerzą zęby, pokazują jakie to one groźne i ważne, że niechby która próbowała uciekać, to będzie miała z nimi do czynienia, a wtedy, nie daj Boże! Ale nikt nie ma zamiaru uciekać, bo i dokąd?

Za nami szeroki Dniepr, a za Dnieprem nieznane drogi do granicy, a na granicy zasadzki. Kto by tam odnalazł zagubioną drogę do Tarnopola?

Przed nami rozsiadło się szerokie miasto, częścią na pagórkowatej wyżynie, częścią w dolinie. Za miastem, na wzgórzu, cel naszej wędrówki: więzienie. Szukam w tłumie kobiet znajomej twarzy. Któż to uśmiecha się do mnie spod pomiętej falbanki przybrudzonego czepeczka? Siostra Agata! Milczący uścisk, stajemy obok siebie w szeregu, znowu razem.

Ruszamy w pochód przez miasto. Jest pogodne styczniowe popołudnie, pada puszysty ukraiński śnieżek. Musiał padać noc całą, bo ubielił ulice, dachy domów, drzewa skwerów i pomnik Aleksandra Puszkina, patrzącego na nas kamiennym wzrokiem ze swego wzniesienia.

Pewnie dziś święto jakieś, czy po prostu „wychodnoje", bo wystrzelające w górę tu i ówdzie kominy fabryczne nie brudzą szarymi smugami dymu bieli i błękitu. Ludzie stoją na ulicach gromadkami, zażywają radości wypoczynku.

W oczach tych ludzi dostrzegam wyraźne współczucie. Zatrzymuję wzrok na każdej niemal twarzy. Nie, nie mylę się, te oczy rzucające na nasz smutny pochód lękliwe spojrzenia — nie kłamią. Czyżby na ulice wyszli tylko dobrzy ludzie — myślę — a gdzież pochowali się źli, ci, którzy biją na śledztwach, ci którzy podpisują wyroki, ci, którzy bez mrugnięcia powiek wysyłają na stracenie tysiące niewinnych? Nie ma ich tu na dniepropietrowskiej ulicy.

Przechodzimy śródmieście, teraz rozciąga się przed nami dzielnica rzadziej zabudowana małymi, mieszkalnymi domkami. Droga prowadzi pod górę, idziemy coraz wolniej, mimo popędzania strielków. Po lewej stronie drogi zalesione wzgórze, w dole, pokryte śniegiem, łąki czy pola. Śnieżny pusty krajobraz ożywia się, bo oto ze wzgórka zjeżdżają saneczki: jedne, drugie, dziesiąte. Słychać gwar wesołych głosów, śmiechy.

— Dzieci! — przeszedł zmęczone szeregi radosny szept. Ożyły obrazy zostawionych daleko za Dnieprem Jasiów, Stasiów, Hanek i Zosiek. Spojrzałam na siostrę Agatę, której twarz rozjaśniła się szczęśliwym uśmiechem. Patrzyła na obce, nieznane dzieci ciepłym wzrokiem, jakim ogarniała niegdyś swoją gromadkę w małopolskiej ochronce.

Dzieci zjechały w dolinę i ciągnąc sanki zrównały się z nami. Teraz zrozumiałyśmy przyczynę beztroskich, wesołych śmiechów. To nie zabawa, swoboda, śnieg i słońce budziły w nich wesołość; wzbudził ją widok pędzonych do więzienia kobiet, dźwigających na plecach nędzne tobołki i ledwie wlokących nogami ze zmęczenia.

— Ha, ha, ha, ha, ha, ha! — zabrzmiało wesołym echem. — Zakluczonyje! zakluczonyje! — wykrzykiwały wytykając nas palcami. — Smotritie, riebiata, Paliaczki szagajut w tiurmu! Ha, ha, ha, ha, ha, ha!

To były dzieci tych dobrych ludzi, patrzących na nas ze szczerym współczuciem z chodników dniepropietrowskiej ulicy. To były nowe kadry szkolone przez tamtych ukrytych, których napróżno szukałam w tłumie.

Najbardziej wyrafinowane tortury naszych prześladowców nie zdołały sprawić tego, co sprawiło okrucieństwo dzieci: w tłumie rozległ się głośny płacz. Siostra Agata ujęła mnie mocno pod rękę.

— Odpuść im, Boże — wyszeptała łkając.

Ale przyszło pocieszenie. Przed samym więzieniem zobaczyłyśmy chłopczynę, może ośmioletniego, stojącego na uboczu. Patrzył na nas pełnymi smutku oczywa. Uśmiechnęłam się do niego przez łzy. Zdjął czapeczkę i powiedział:

— Z Bogom.

— O mój ty aniołku! — wykrzyknęła siostra Agata — niech ci Bóg zapłaci! — I przeżegnała znakiem krzyża dziecko, które otarło jej łzy, wyciśnięte przez jego rówieśników.

Wprowadzono nas na podwórko więzienne, gdzie miałyśmy czekać na przydział do cel. Podwórko miało kształt prostokąta, otoczonego dokoła dwupiętrowymi budynkami. Trzy skrzydła miały okna zakratowane, w czwartym na parterze i na pierwszym piętrze mieściły się widocznie kancelarie, kraty w oknach były zasłonięte kolorowymi firankami. Zza każdej firanki jakaś para oczu, przyglądała się ciekawie pierwszemu transportowi Polek.

Ci ludzie zza firanek — to byli „tamci".

Minęło pięć, dziesięć minut — oni wciąż patrzyli.

— I czegoż to się tak gapią jak na zwierzęta w klatkach? — wybuchnęła nagle siostra Agata. — Spragnieni widowiska, to zrobiłybyście coś takiego, żeby im oczy w słup stanęły.

— Cóż możemy zrobić? — odezwały się apatyczne głosy.

— Stoimy tu jak stado krów w zagrodzie — perorowała dalej siostra Agata . — Zatańczyłybyście mazura dla rozgrzewki, to by mieli widowisko, ażby im w pięty poszło. Chcą się upajać naszym nieszczęściem, a tu... mazur.

Projekt siostry Agaty dał ostrogę tym nawet, którym jeszcze przed kilkoma minutami zdawało się, że nie są zdolne do najmniejszego wysiłku. Więzienie dniepropietrowskie od czasów swego istnienia nie notowało zapewne podobnej sceny. Szesnaście par stanęło do mazura, z przytupywaniem i hołupcami, z odbijanym i zwodzonym, z krakowską i marymoncką figurą. Siostra Agata rada z pomysłu przyklaskiwała ochoczo do taktu.

Po kilkunastodniowym pobycie w więzieniu dniepropietrowskim, następny krótki etap w Charkowie, a potem kilkutygodniowa podróż na daleką Syberię, w ciemnym, bydlęcym wagonie. Na piętrowych narach, umieszczonych po obu stronach wagonu, tłoczyło nas się około trzydziestu. Na środku wagonu żelazny piecyk. Siostra Agata otaczała ten piecyk specjalną opieką, utrzymując ogień dzień i noc.

Naznaczała dyżury, udzielała instrukcji.

— Pamiętaj, jedna z drugą — upominała — że oni tu po dwa, trzy dni nie zaglądają do nas. Co będzie z nami jak piecyk, nie daj Boże, zgaśnie?

Znalezionym na drodze kawałkiem drutu przeczyszczała piecyk fachowo i uczyła tej sztuki niewtajemniczone.

— Pamiętaj, zawsze z dołu, nigdy z góry, bo to się tylko cały ogień przydusza. I pilnujcie drutu jak oka w głowie, niech każda dyżurna oddaje następnej do ręki, bo bez drutu cały piecyk na nic.

Zdarzyło się jednak tak, że któraś z dyżurnych musiała widocznie nie oddać drutu „do ręki", dość, że drut zaginął. Wszelkie poszukiwania nie dały rezultatu. Minuty mijały za minutami, drutu ani śladu. Ogień w piecyku zaczął przygasać zwolna.

— Na miłość Boską, szukajcie drutu! — grzmiała siostra Agata. — Wszystkie z nar i szukać!

Rozpełzłyśmy się posłusznie po kątach, macając w ciemności zgrabiałymi rękami centymetr po centymetrze. Mróz na dworze musiał być tęgi. Dawał o sobie znać bolesnymi szpileczkami w palcach rąk i nóg. W piecyku ledwie się tli.

Rozlegają się histeryczne krzyki:

— Zginiemy tu, Jezus Maria! Zmarzniemy na śmierć! Koniec z nami!

Koniec z nami? — pomyślałam z lękiem. Zniosłam szesnastomiesięczny pobyt w więzieniu, śledztwa, głodówkę, poniewierkę i teraz los mój zależy od kawałka drutu? Oto złośliwość rzeczy martwych.

— Nie ma co szukać — odzywa się jakiś głos z kąta — pewnie wypadł przez szczelinę w drzwiach. Nie ma nadziei.

— Nie ma nadziei? Kto tam plecie takie głupoty? — gromi siostra Agata. — W Bogu nasza nadzieja, jeśli ją stracimy, wtedy koniec z nami.

— To niech siostra prosi Boga, żeby pomógł nam znaleźć drut — odzywa się inny głos.

— Cały czas proszę — odpowiada siostra. — I wy proście.

Znowu zapada milczenie. Przerywa je głos siostry Agaty:

— Kto się w opiekę...

Pełzające postacie podchwytują słowa psalmu, oddając się w opiekę Temu, który „Aniołom swoim każe cię pilnować".

Wraca wspomnienie z tarnopolskiej celi: „Jakaś tam głupia kropka, czy to ważne? Widzisz, jak modli się szczerze i żarliwie".

Umilkły słowa pieśni, płynęły minuty długie jak godziny, zostało już kilka zaledwie poszukujących. Reszta powróciła na nary, których deski zabezpieczały przynajmniej częściowo od mroźnego wiatru, wiejącego przez szczeliny.

I nagle nabrzmiały radością okrzyk:

— Znalazłam! Znalazłam! Jest drut!

Siostra Agata chwyta drut, przeczyszcza piecyk fachowo od dołu. Otaczamy ją kołem. Rozpali się, czy już zupełnie wygasło? Wpatrujemy się z niepokojem we wnętrze piecyka, gdzie już nie widać żaru, tylko ciemny, dymiący miał.

— Nie ma dymu bez ognia — mówi spokojnie siostra Agata.

Po chwili błyska jeden złocisty języczek, za nim drugi, trzeci. Po pół godzinie, rozgrzany do czerwoności piecyk rozsyła dobroczynne ciepło do najdalszych zakątków wagonu.

Po przybyciu na miejsce przydzielono mnie do łagru Batyk, gdzie pracowałam w polu i w ogrodzie.

Siostra Agata, jako silniejsza fizycznie, została zatrudniona przy budowie baraków w sąsiednim łagrze. Nigdy nie spotkałam jej już w swojej dalszej wędrówce, a jednak nie zerwałam z nią łączności, nawiązanej w najcięższych chwilach życia. W momentach, kiedy pozostawało już tylko: „Kto się w opiekę", przychodziła do mnie „uboga duchem" służebniczka, krzepiąc mnie swą gorącą, prostą wiarą. Wierzę, że przychodziła także do Ceśki, Heli i innych współtowarzyszek niedoli, które los rozrzucił po świecie.

Jadwiga Otwinowska

NOWE KSIĄŻKI

MICKIEWICZ KOMBATANCKI

Rok Mickiewiczowski jeszcze trwa, ale zdaje się, że kto miał coś do powiedzenia o Mickiewiczu, zdołał to już powiedzieć. W Kraju ogromnie spopularyzowano postać i dzieła poety, ale wielkich prac naukowych nie wydano. Wyszło jednak sporo cennych przyczynków i opracowań cząstkowych. Pojawiło się kilka pozycji beletrystycznych i dramatycznych — formatu raczej średniego. Mickiewiczowskie numery czasopism wyszły wymęczone, afiszowe, martwe. Numer „Twórczości" nie przewyższa poziomem emigracyjnego „Mickiewicza żywego". Najżywiej zredagował numer rocznicowy krakowski „Tygodnik Powszechny", gdzie m. in. zamieścili swe prace Juliusz Kleiner, Stanisław Pigoń, Leon Płoszewski, Zenon Klemensiewicz. Czasopisma literackie zagadał na śmierć Kazimierz Wyka.

◆

Emigracja, co jest zrozumiałe, w Roku Mickiewiczowskim zdołała posiać; żąć będzie później. Obie książki naukowe, londyńska i kolumbijska, są jeszcze daleko w polu, zwłaszcza pierwsza. Tom zbiorowy „Pism poetyckich" Mickiewicza jest na ukończeniu. Związek Pisarzy wydał przyjemnie „Mickiewicza żywego". Drugi tom „Sacrum Poloniae Millennium" zawiera dwie prace o poecie.

Pierwiosnkiem Roku Mickiewiczowskiego na emigracji była książeczka, wydana przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, szkoda że nie drukiem, lecz półdrukiem („fotoprint").*) Dobrze to świadczy o ekonomice kombatantów, trochę gorzej o ich miłości do estetyki wydawniczej. Ale dobre i to: kombatancki „Mickiewicz" jest jako półdruk wcale estetyczny, czysty, ładnie ilustrowany, a przede wszystkim posiada treść interesującą i pożyteczną.

◆

To w pierwszym rzędzie zasługa redaktorki dr. Zofii Kasprzyckiej.

Pani Kasprzycka jest jedną z tych cichych postaci w życiu kulturalnym emigracji, które można porównać do sterników. Sternik jest samotnie zamknięty na spodzie okrętu, niedostrzegalny dla oczu ludzkich i ma pełne ręce szarej roboty, bo w jego rękach spoczywa los okrętu. Spogląda, nie jak kapitan w dalekie horyzonty, ale wprost w oblicze żywiołu. Wyczuwa każde drgnienie okrętu.

Zofia Kasprzycka ma styczność z masą emigracji żołnierskiej, zna jej potrzeby i służy im. Nie sztuka wydać piękną książkę i spocząć na laurach. Ale wydać w ciągu dziesięciu lat — dziewięć sporych tomików (i to przeważnie zbiorowych), dwanaście odczytów z różnych dziedzin, pięć zeszytów instrukcji oświatowych, pięć sztuk dramatycznych, w tym jedną własną (a to dlatego, że nie można było znaleźć odpowiedniego tekstu), oraz współuczestniczyć w przygotowaniu i wydaniu dalszych trzynastu, borykać się z papierowym miałem zajęć powszednich i odbywać codzienną wędrówkę przez zawiły labirynt formalistyki społeczno-organizacyjnej, a przy tym sterować czujnie, aby nie popaść w tony zbyt górne i trudne, lecz trzymać ciągle kurs popularny, na to trzeba mieć mocną wiarę i żelazne siły. Zwłaszcza, że popularny poziom wydawnictw kombatanckich i ich kusa szata graficzna nie pociągają oczu krytyki, rzadko przynosząc przyjemny poklask i uznanie.

Zofia Kasprzycka w swej wszechstronnej trosce o teatr amatorski, o świetlice, o chóry, o rocznice narodowe, o zagadnienia ideowe, polityczne, kulturalne, nie traci z oczu również twórczości i rozdaje stale prace wybitnym pisarzom i publicystom na obczyźnie, aby im dać możność wypowiedzi. Prawdziwa siłaczka kultury polskiej na obczyźnie.

◆

Praca zbiorowa o „Adamie Mickiewiczu" łączy z wielką umiejętnością łatwą czytelność i solidny wysiłek filologiczny. Plan tego sporego tomu (jako druk typograficzny „Mickiewicz" kombatancki zająłby powyżej 200 stron) jest obszerny, ale jasny. „Słowo wstępne" i staranny projekt „Wieczorów Mickiewiczowskich" wraz z wykazem źródeł pomocniczych w opracowaniu redaktorki, dwa szkice literackie: Tymona Terleckiego i Zygmunta Nowakowskiego, ujmujące całe życie i dzieło Mickiewicza w formie pięknych gawęd, dwa pracowite referaty Ireny Gałęzowskiej pt. „Mickiewicz jako emigrant" i Marii Czapskiej „Drogi pielgrzymstwa Adama Mickiewicza", bardzo celny wybór poezji (ponad 20 stron), prozy, listów (listów w przygotowaniu M. Danilewiczowej), sześć wierszy współczesnych poetów o Mickiewiczu, bibliografia druków Mickiewiczowskich na emigracji (1939 - 1955), wreszcie światłe i rzetelne omówienie „sporu o Mickiewicza", czyli wydawnictw marksistowskich, a także i innych krajowych, pióra M. Danilewiczowej — oto treść tomu.

Materiały te dają wszechstronny obraz życia i twórczości Mickiewicza, doskonałą pomoc dla organizacji obchodów.

◆

Na marginesie cennej pracy zbiorowej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów budzi się jednak refleksja sprzeciwu: dlaczego opracowania popularne mają zawsze ton hagiograficzny? Dlaczego Mickiewicz w popularnych omówieniach musi być we wszystkim, co robił, mówił i pisał — „naj"? „Pokazał nam samym i światu, co w polskości jest najlepsze, najsilniejsze, najpiękniejsze, nie podlegające zniszczeniu, wieczne"; „w Mickiewiczu przede wszystkim, przez Mickiewicza polskość przetrwała stuletnią niewolę, niezliczone prześladowania i klęski"; pierwszy tomik Mickiewicza „to największe wydarzenie w dziejach polskiego słowa pisanego, największa u nas rewolucja literacka"; w „Trybunie Ludów" „przedstawił to, co w duchu polskim jest najlepsze i najwyższe"; „rozsławił imię Polski na świecie, kiedy Polski nie było. Stanowił jej duchowy rząd, był jej duchowym ambasadorem"; „Wszystko jest w nim wielkie i piękne, i wspaniałe, i świetne"; „on jest całą Polską"; itd. Ta przesada jest po prostu nieznośna, nawet gdyby to wszystko było prawdą. A przecież w tych eulogiach jest tylko cząstka prawdy, a czasem nawet nie ma ani cząstki.

To zresztą nie byłoby najgorsze. Smutniejszy objaw, to zmyślanie i niemiłosierne fantazjowanie, które ma opisywaną postać wynieść pod niebiosa. Mickiewiczowi przypisuje się tedy nie tylko proroctwa i wizje, ale i jakieś niezwykłe moce telepatii, improwizacji (jakież to marne odpryski geniuszu poety!), „dar apostołów" (języki niemiecki, francuski, angielski, włoski, rosyjski, łacinę, grekę, czeski, serbski, ba, hebrajski!), czyny niepopełnione, zamiary niezamierzone, uczucia mu obce, upiększa się błędy i ubóstwia wady. Jeśliby dziś przytomny poeta palnął kogoś w salonie naodlew lichtarzem po głowie, opinia słusznie by się trzęsła z oburzenia. Ale za taki akt brutalności, popełniony w salonie państwa Kowalskich, Mickiewicza się wprost sławi, że niby taki mocny i nieustraszony. A to po prostu brzydkie nowogrodzkie maniery.

Niekiedy hagiografowie popadają w prostactwo. Jeden z nich np. pisząc o Maryli stwierdza: „Głupia! Nie chciała oddać ręki poecie. Wolała iść za hrabiego". Może by i nie wolała, cóż kiedy miłość do poety obudziła się już po przejściu przez ślubny kobierzec.

Życie Mickiewicza zakłamano legendami. Np. że mu się „udało" opuścić Rosję „podstępem", po czym zaraz mógł „zrzucić maskę". Otóż, jak wiadomo, Mickiewicz wyjechał z Rosji najlegalniej na paszport rosyjski i maski nie zrzucał, lecz bardzo dbał aż do roku 1832 o pozory jako zatrudniony w służbie rządowej poddany rosyjski. Za dogmat uchodzi, że „Konrad Wallenrod" był wymierzony przeciw Rosji. A przecież poematem tym zachwycali się zwłaszcza Rosjanie, przy czym przekład rosyjski „Konrada" ukazał się wówczas, gdy Mickiewicz był już za granicą. Do uporczywych legend należy także nędza poety: „klepał biedę zawsze, ale pięknie ją znosił", „w ogóle w domu autora „Pana Tadeusza" obiad był rzeczą względnie pewną dzisiaj, niepewną jutro". Nic podobnego: Mickiewicz znosił ubóstwo za lat studenckich, ale już w Kownie się poprawiło, w Rosji, Włoszech i Niemczech, nie mówiąc nawet o Wielkopolsce, żył dostatnio, na ogół także nieźle w Lozannie i w Paryżu. Niedostatek pojawiał się tylko okresowo, na krótko, co raczej przypisać trzeba poetyckiemu niedbaniu o dobra tego świata. Poeta dostawał regularne pobory od rządu francuskiego, a pomagali mu też hojnie rodacy. Legendą jest „rewolucjonizm" Mickiewicza, co stwierdził Herzen opisując bankiet z okazji wydania pierwszego numeru „Trybuny Ludów", legendą wiele przypisywanych mu, niczym półbogowi, cnót i ról. A przecież Mickiewicz to nade wszystko poeta.

Kombatancki „Mickiewicz" posiada dwa różne oblicza. Owe apokryficzne, uchrakteryzowane do patetycznej roli wieszcza narodu, wymalowane, wypudrowane i ozdobione peruką, oraz drugie: prawdziwe. Mimo wyznawczego tonu, prawdziwe oblicze Mickiewicza wykazują prace Ireny Gałęzowskiej, Marii Czapskiej i Marii Danilewiczowej.

Jeśli do tego dodać bogaty wybór pism poety, „Adama Mickiewicza" kombatanckiego można określić jako najpożyteczniejsze z dotychczasowych wydawnictw Roku Mickiewiczowskiego na emigracji.

Jan Bielatowicz

*) **ADAM MICKIEWICZ. Praca zbiorowa.** Opracowania, wybór poezji, prozy, listów, wiersze o poecie, bibliografia. Stowarzyszenie Polskich Kombatanów. Materiały Oświatowe pod redakcją dr. Zofii Kasprzyckiej. Londyn 1955. Półdruk, stron 132. Okładkę opracował Tadeusz Terlecki. Rysunek Adama Mickiewicza wykonał St. Gliwa. Ilustracje w tekście.

DZIESIĘĆ NAJLEPSZYCH KSIĄŻEK DZIESIĘCIOLECIA

Pod takim tytułem odbył się ostatnio w Polsce plebiscyt czytelników tygodnika Związku Literatów Polskich „Nowa Kultura". W plebiscycie głosowano na 239 autorów i 363 utwory. Wzięło w nim udział 1.251 czytelników. Każdy posiadał 10 głosów.

Najwięcej głosów, bo 846, otrzymała „Pamiątka z celulozy" Igora Newerlego „Medaliony" Zofii Nałkowskiej uzyskały 501 głosów, „Obywatele" Kazimierza Brandysa — 448, „Popiół i diament" Jerzego Andrzejewskiego — 407, „Niemcy" Leona Kruczkowskiego — 397, „Piątka z ulicy Barskiej" — 329, „Stare i nowe" Lucjana Rudnickiego — 328, „Kwiaty polskie" Juliana Tuwima — 318, „Wrzesień" Jerzego Putramenta — 318 i „Pokolenie" Bohdana Czeszko — 278 głosów.

MARIAN CZUCHNOWSKI

ZAPADANIE NOCY

Pijemy z córką herbatę o zmierzchu.
Pachnie zimno. Sprasowana, żelazna surówka.
Rąbek księżyca odcisnął w świerkach ślad srebrnego ołówka.
Blednąc chciwie na niebie od szkarłatnej zorzy.

Słońce jeszcze zachodzi, mrugając przyjaźnie na szyby.
Warstwa za warstwą, szorstką łuską wyjętej z wody kruchej [ryby.
Wstawia się grząsko w okna.

Raptem obłok ożył.
Nawilgnął, spęczniał, nadszedł, zasłonił widoki.
Zmazał pasma nowiowe, zatarł zachód i zapadł głęboki.
W szybach zatopił ostro szklane zęby deszczu.

Marian Czuchnowski

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

PROPAGANDA A RZECZYWISTOŚĆ

Nie tak to dawno jeszcze niektóre pisma brytyjskie i amerykańskie sekundowały sloganom niemieckiej propagandy rewizjonistycznej, idącym w tym kierunku, że okrojone po linię Odra-Nysa Niemcy nie zdolne będą wchłonąć i utrzymać wielomilionowych rzesz uchodźców i przesiedleńców ze „Wschodu", że gospodarka niemiecka załamie się pod tym ciężarem. Rozwój wydarzeń potoczył się jednak zupełnie inaczej. Przybysze z utraconych prowincyj i z Kraju Sudeckiego wydatnie przyczynili się do odbudowy i rozbudowy przemysłu zachodnio-niemieckiego. Dzisiaj przemysł ten nie tylko nie może się bez nich obejść, ale i musi, chcąc rozwój swój utrzymać na dotychczasowej stopie, rozglądać się za nową siłą roboczą, której w samych Niemczech już brak.

Już blisko dwa lata temu pisała o tym „Deutsche Zeitung", dziennik poważny i szczególnie zajmujący się zagadnieniami gospodarczymi. W artykule „Zachodnio-niemiecki potencjał pracy" pismo to, w swym nrze z dnia 9 maja 1954 r., przytaczało cyfry opublikowane przez „Statistisches Bundesamt", z których wynikało, że w następstwie niekorzystnych przemian populacyjnych już po trzech latach dotychczasowy roczny przyrost ilości osób zdolnych do pracy, spadnie na obszarze „Bundesrepublik" do jednej czwartej przyrostu z roku 1953, a za sześć lat wystąpi w miejsce przyrostu deficyt, który w roku 1959/60 wyniesie już około 150.000 osób. Jako remedium na ten katastrofalny dla przemysłu niemieckiego stan rzeczy „Deutsche Zeitung" domagała się większego niż dotychczas wyzyskania pracy kobiet oraz — co szczególnie charakterystyczne — dalszego przypływu uchodźców z sowieckiej strefy Niemiec, a nawet imigracji robotników obcych z krajów, położonych na południe i południowy-wschód od Niemiec.

„W każdym razie — pisała „Deutsche Zeitung"— należy zapobiec popadnięciu Niemiec zachodnich w taką paradoksalną sytuację, w której by polityka industrializacji, przeprowadzona po wojnie na skutek napływu ludzi i z pomocą tego napływu, załamała się z powodu braku ludzi."

Po dwóch latach okazało się, że analiza „Deutsche Zeitung" była całkowicie ścisła. Stwierdza to korespondent niemiecki „Sunday Times", Antony Terry, pisząc o krokach ministra spraw gospodarczych rządu w Bonn, prof. Erharda, skierowanych przeciw monopolom. Podkreśla on, że kwitnące gospodarstwo zachodnio - niemieckie natrafi w najkrótszym czasie na wielkie trudności, spowodowane b. in. zbrojeniem się Republiki Związkowej. Idzie to w parze ze spadkiem liczebności siły roboczej.

Ponad 600.000 młodych ludzi, urodzonych w szczytowym okresie kampanii hitlerowskiej na rzecz silnej rozrodczości, weszło do przemysłu niemieckiego w roku ubiegłym. Odsunęło to przejściowo kryzys na rynku pracy, który osiągnie punkt szczytowy w roku 1960. W roku tym — referuje Terry — napływ do przemysłu ze szkół będzie wynosił mniej niż połowę tego, co jest dzisiaj, w czasie tym w dodatku więcej niż połowa zatrudnionych mężczyzn w Niemczech zachodnich będzie miała ponad 50 lat. Od roku 1959 liczba pracobiorców zacznie spadać w tempie gwałtownym.

W dodatku rząd w Bonn będzie musiał znaleźć co najmniej 800 tysięcy ludzi, którzy będą administrowali i zaopatrywali nowe zachodnio-niemieckie siły zbrojne. Same zaś te siły wyciągną co najmniej 2 miliony ludzi z kontyngentu pracy, wynoszącego 18 milionów.

Słabą pociechę stanowi oświadczenie ministra Storcha, że spodziewa się zwerbować do pracy dodatkowych 200 tysięcy kobiet, nadto, że jakieś 300 tysięcy dotychczasowych robotników rolnych przeniesie się do fabryk. Cyfry te absolutnie nie wyrównują grożącego wielkiego deficytu na rynku pracy.

Wnioski polityczne, (o czym Terry nie pisze) z tego stanu rzeczy są jasne: Niemcy nie posiadają ludzi nawet na częściowe ponowne zaludnienie tych utraconych obszarów, w sprawie których prowadzą tak zaciekłą propagandę rewizjonistyczną.

DWA SPOSOBY MÓWIENIA

Ożywioną dyskusję, która do tej pory nie wygasła, wywołał artykuł znanej publicystki, pochodzenia arystokratycznego, Nany Mitford, poświęcony arystokracji angielskiej. Artykuł ten ukazał się w miesięczniku „Encounter". Autorka stwierdza, że nie ma w Anglii czegoś w rodzaju kasty arystokratycznej, złożonej z ludzi z tytułem para. Większość parów ma to samo wychowanie, obyczaje i poglądy co liczna „górna warstwa średnia" („upper middle class"), ale owa warstwa nie zlewa się w sposób niedostrzegalny z warstwą średnią tout court. Istnieje wyraźna linia graniczna, łatwa do zauważenia dzięki setkom małych, lecz znamiennych zwyczajów. Z dalszego ciągu wywodu autorki wynika, że najbardziej spośród nich znamienny zwyczaj stanowią pewne sposoby wyrażania się, odmienne od wysławiania się warstw „niższych".

Mitford solidaryzuje się w tym zakresie z uwagami profesora uniwersytetu birminghamskiego, Alana Rossa, w jego rozprawie, wydrukowanej dwa lata temu w biuletynie towarzystwa neofilologicznego w Helsinkach w Finlandii. Prof. Ross stwierdza, że w chwili obecnej warstwy górne angielskie, straciwszy swą dawną przewagę we wszystkich niemal dziedzinach, odróżniają się od reszty społeczeństwa prawie wyłącznie sposobem mówienia. Przyjąwszy na oznaczenie warstw „górnych" (upper classes) literę „U", prof. Ross odróżnia „U-speech" od „non-U-speech". W literaturze różnica ta się nie zaznacza — w listach występuje ona w sposobie adresowania oraz w formułach początku i końca listu.

Prof. Ross mówi o zwyczaju milczenia u osób „U", który — zdaniem Miss Mitford — jest jedynym możliwym sposobem reakcji tych ludzi na różne ambarasujące nowoczesne sytuacje zdecydowanie „non-U", np. wznoszenie „cheers" przed piciem lub używanie imion własnych przez całkiem świeżych znajomych. Profesor omówiwszy dalej pewne różnice wymowy, daje następnie rodzaj słowniczka porównawczego. Oto niektóre ze słów:

„Non-U" jest słowo „cycle" (rower), „U" brzmi: „bike".

Obiad: Osoby „U" jedzą „luncheon" w połowie dnia, a „dinner" wieczorem. Osoby „Non-U" jedzą „dinner" w środku dnia.

„Non-U" „greens" (jarzyny), „U" — „vegetables".

„Non-U" mówią: „they have a lovely home", „U": „they've a very nice house".

Choroba: „Non-U" powie: „I was ill on the boat", „U" użyje określenia „sick" zamiast „ill".

Choroba umysłowa: „Non-U" powie: „mental", „U" — „mad".

Papier listowy: „Non-U" — „note paper", „U" — „writing paper".

Papier toaletowy: „Non-U": „toilet paper", „U" — „lavatory paper".

Bogaty: „Non-U" — „wealthy", „U" — „rich".

Do tych przykładów Miss Mitford dodaje jeszcze szereg innych, jak np. słowo „wire", używane zamiast określenia „U" „telegram", oraz różne skróty, które w ogóle są właściwością „Non-U" (np. „Phone" — telefon). Autorka aresztą zgadza się niemal całkowicie z wywodami prof. Rossa. Ta właśnie część jej artykułu wywołała najbardziej ożywioną dyskusję, która przeniosła się także na łamy innych pism. Dyskusja ta robi osobliwe wrażenie na czytelnikach innych narodowości, u których tego rodzaju różnice językowe (poza różnicami dialektów oczywiście) nie zarysowują się tak ostro, wśród osób z pewnym stopniem wykształcenia w każdym razie.

WIECZORY TEATRALNE

„PORWANIE SABINEK"

Teatr Aktora (dyrektor i reżyser Wojciech Wojtecki, administrator Zygmunt Zimand) wyróżnia się odwagą i pomysłowością w wyborze repertuaru. Jako Polacy przyzwyczajeni jesteśmy do traktowania teatru jako zjawiska namaszczonego, odświętnego, dostojnego. Tymczasem teatr, obok swojej niezaprzeczonej funkcji hieratyczno-koturnowej, jest także rozrywką. Spośród wybitnych postaci sceny emigracyjnej Wojtecki rozumie to najlepiej, skoro mowa tu tylko o sztuce dramatycznej, a więc nie o Hemarze.

Tegoroczny karnawał trwał wyjątkowo krótko, a trudności reżyserskie są tak złożone, że premierę „sztuki karnawałowej" udało się zagrać dopiero na tydzień przed Wielkim Postem. Bo „Porwanie Sabinek", to typowa sztuka rozrywkowa, aczkolwiek dzięki zawartym w niej realiom z minionych czasów, dzięki sentymentom, które budzi, można ją także traktować poważniej. „Porwanie Sabinek" jest adaptacją farsy austriackiego komediopisarza R. Schoentana w oryginalnej przeróbce J. Tuwima, z licznymi wstawkami muzycznymi. Tuwim dał tej humoresce scenicznej rozkoszny koloryt mieściny małopolskiej i z typów uniwersalnych zrobił, wypisz wymaluj, galicyjskich belfrów, dyrektorów wędrownych teatrów (a la Pilarski junior), kupców kolonialnych, obok tak wszechludzkich postaci jak zięć pod pantoflem teściowej, oważ teściowa-matrona, trochę Dulska, zazdrosna do szaleństwa młoda mężatka, oraz panienka z pensji, marząca o małżeństwie z przystojnym aktorem. Treść jest niewinna, czysta, raczej humbug niż konstrukcja dramatyczna. Po prostu zabawa na całego.

Wojciech Wojtecki wyreżyserował sztukę tak jak trzeba: jako nieustanną fontannę groteskowego humoru. Cała obsada zagrała z sercem i przekomicznie. Królował zwłaszcza Ludwik Lawiński zasypując lawiną humoru widownię. Dzielnie mu, jak to się mówi, sekundował Mieczysław Malicz oraz nadspodziewanie dobry w roli komicznej Feliks Karpowicz, kupiec z Tarnowa. Janina Sempolińska z wielkim sukcesem wróciła na scenkę londyńską. Klara Belska zagrała rolę teściowej z bardzo dużym talentem. Sylwetki młodzieży bez zarzutu. Gwidon Borucki, nieśmiały i zacukany doktorek, trzpiotowaty aktorzyna Wacław Dybowski i dwie urodziwe siostry: Ina Sobieniewska i Jadwiga Starnawska.

Kierownik muzyczny Jerzy Kropiwnicki, nie mógł nie wykonać swojego zadania doskonale.

Rzecz, którą by się chętnie zobaczyło jeszcze raz.

J. B.

WYSTAWA TWÓRCZOŚCI PAWŁA VALERY'EGO

W Bibliothèque Nationale w Paryżu otwarta została wystawa twórczości znakomitego poety Pawła Valéry'ego, obejmująca pierwsze wydania jego dzieł, manuskrypty, listy, fotografie; znajduje się tam 250 zeszytów, zapisanych przez Valéry'ego i zawierających rzeczy, których większość wydana jeszcze nie została. Prasa paryska poświęca wystawie wiele uwagi.

AUDYCJE POLSKIE Z MADRYTU

Począwszy od 1 lutego audycje polskie z Madrytu nadawane są codziennie od godz. 20.40 do godz. 21.10 czasu zachodnio-europejskiego na falach krótkich w paśmie 31 metrów (9605 kilocyklów), 32 m (9363 kilocyklów) i 42 m (7100 kilocyklów). Dzięki zwiększeniu mocy radiostacji warunki odbioru audycji powinny się polepszyć.

TADEUSZ FELSZTYN (5)

ROLA MATEMATYKI W NAUKACH PRZYRODNICZYCH

Polscy materialiści dialektyczni, którym indoktrynacja komunistyczna nie odebrała jeszcze pewnej dozy krytycyzmu, usiłują więc znaleźć inną drogę. Złotowski, podobnie jak i częściowo Plebański i Werfle starają się uzasadnić statystyczność praw mikrofizyki twierdzeniem, że w każdym pomiarze mamy tyle parametrów, iż „nawet mając możność obserwacji procesów jednostkowych, nie mamy na ogół możliwości porównywania ich z teorią" (C, str. 43). Podobnie Złotowski usiłuje wyjaśnić statystyczność zjawisk mikrofizycznych tym, że „każdy zbiór mikroobiektów powinien ściśle podlegać prawu wielkich liczb, a mechanika kwantowa, opisująca zjawiska mikroświata z (niejawnym) uwzględnieniem wzajemnego oddziaływania pomiędzy każdym elementem zbioru kwantowego z całym zbiorem oraz jego otoczeniem, musi być teorią na wskroś statystyczną" (D. str. 97).

Wyjaśnienie takie jest całkowicie sprzeczne z faktami fizycznymi i teoriami mikrofizyki. Funkcja **„psi"** np. wyrażająca zachowanie się elektronu, czy też funkcje prawdopodobieństwa związane ze zjawiskami świetlnymi, są funkcjami mówiącymi o **jednej** cząsteczce, czy o **jednym** fotonie, a nie o ich zbiorze. A że doświadczenie stale potwierdza przewidywania teoretyczne tych funkcyj, więc nie ma powodu wątpić, że funkcje te dobrze opisują zachowanie się **pojedyńczych cząsteczek elementarnych** w dotąd znanych zjawiskach, a nie całego ich zbioru.

Nie jest też prawdą, iż obecne metody mikrofizyki uniemożliwiały jakoby obserwowanie pojedyńczych mikrocząsteczek. Obserwując np. rozpad promieniotwórczy, czy przemiany wewnątrzatomowe na filmie fotograficznym lub też w komorze Wilsona, bez wątpienia obserwujemy **jedną** cząsteczkę i dokładnie potrafimy — w granicach prawa nieokreśloności Heisenberga — wykryć jej wielkości pomimo, że po drodze oddziaływuje ona na bardzo wiele innych cząsteczek. Prawa statystyczne więc nie wynikają z faktu tego wzajemnego oddziaływania, jak twierdzą Plebański, Werfle i Złotowski, lecz są **istotnymi** prawami zjawisk mikrofizycznych.

Inna droga wyjścia — to wspomniane już zaciemnianie pojęć. I tak np. Krajewski usiłuje znaleźć wyjście w łączeniu w jedno dwu różnych kategorii zjawisk, statystyczności istotnej i statystyczności pochodnej, a nawet idzie dalej starając się rozdzielić zjawiska mikrofizyczne na dwie kategorie prawidłowości statystycznych i każdą z nich usiłuje identyfikować z jakąś prawidłowością statystyczną typu makrofizycznego.

Wedle niego mianowicie prawa fizyczne należy podzielić na prawa dynamiczne, tj. ustalające jednoznaczną zależność między wielkościami (B, str. 227) bez względu na to, czy prawa te wynikają z praw koniecznościowych, czy też z praw prawdopodobieństwa, oraz na prawa statystyczne, mówiące o rozkładzie pewnych wielkości w wielkim wyborze cząsteczek (jak np. szybkości cząsteczek gazu w prawie Maxwella). Podział ten, mocno sztuczny, idący w poprzek dwu typów zjawisk całkowicie w swej istocie odmiennych, może zaciemnić wnioski i pozornie pogodzić determinizm ze statystycznością praw fizyki atomowej. Ale tylko pozornie. Jak bowiem nie dzielilibyśmy zjawiska, fakt pozostanie faktem, że w jednych wypadkach statystyczność praw jest tylko wynikiem **wielkiej komplikacji zjawisk**, z których każde z osobna — jako zjawisko makrofizyczne — jest pozornie deterministyczne, w innych zaś — mamy do czynienia z indeterminizmem, który — przy obecnej naszej znajomości zjawisk fizycznych — wydaje się być **istotnym** prawem przyrody.

I tu nie pomoże żadna dialektyka.

*

Nowoczesna fizyka, operując coraz bardziej abstrakcyjnym aparatem matematycznym, nieustannie oddala nas od tego, co obserwują nasze zmysły. Jeśli na matematykę w naukach przyrodniczych patrzeć jedynie jako na narzędzie, od którego wymagamy tylko, aby było możliwie najprostszym ujęciem **rzeczywistych stosunków między rzeczami** i aby pozwalało nam możliwie najlepiej przewidzieć i wytłumaczyć zjawiska zachodzące w danej dziedzinie nauki, stan ten nie powinien nas przerażać, ani też nakłaniać do jakiejś rewizji naszych podstawowych pojęć o otaczającym nas świecie. Stosując bowiem ścisłe myślenie metafizyczne potrafimy zawsze oddzielić to, co jest rzeczywistością, od tego, co jest tylko modelem, obrazem, matematycznym opisem **nie rzeczy samych**, lecz **rzeczywistych stosunków** między nimi. I z tego punktu widzenia, matematyka, jako narzędzie pomocnicze nauk przyrodniczych, byle tylko stosowane do zjawisk, które się do tego nadają, (a więc do zjawisk w których ich **mierzalność** jest cechą najbardziej istotną), jest cenną i płodną pomocą dla poznania przyrody.

Jeśli jednak zechcemy stosować matematykę do zjawisk, w których stosunki liczbowe czy też przestrzenne nie są rzeczą najbardziej istotną, tak jak to chcą czynić niektórzy naukowcy, sądząc, że jedynie matematyzacja jest gwarancją naukowości, lub co gorzej do zjawisk z samej swej istoty nie nadających się do matematycznego ujęcia — wyniki zawsze muszą być fatalne.

A cóż dopiero, gdy poglądy filozoficzne opiera się na przestarzałych wynikach dawno odrzuconych teoryj fizycznych, tak jak to czyni materializm dialektyczny, i gdy chce się za wszelką cenę wyniki wciąż postępującej nauki naciągnięć do skostniałego schematu zupełnie nie odpowiadającego dostępnej umysłowi ludzkiemu rzeczywistości. Nie pomogą tu żadne sztuczki interpretacyjne, żadne wyklinanie narzędzia matematycznego. Przyczyna niepowodzeń nie leży bowiem ani w narzędziu, ani nawet w wadliwym jego stosowaniu, lecz po prostu w mylnej filozofii.

Dr Tadeusz Felsztyn

Odsyłacze

A. Ernest Kolman — „Bałwochwalstwo matematyzacji we współczesnej nauce burżuazyjnej". Myśl Filozoficzna nr 3(13) 1954.

B. Władysław Krajewski — „Uwagi o prawach dynamicznych i statystycznych". Myśl Filozoficzna nr 3(13), 1954.

C. Jerzy Plebański i Józef Werfle — „O interpretacjach mechaniki kwantowej". Myśl Filozoficzna nr 2(12), 1954.

D. Ignacy Złotowski — „O prawidłowościach statystycznych w przyrodzie", Myśl Filozoficzna nr 2(12), 1954.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 26 lutego 1956.

NASZE SPRAWY

ADRESOWANIE LISTÓW

Sprawa to drobna, ale ostatecznie całe życie składa się z drobnych spraw, które dopiero w sumie tworzą zjawiska wielkiej miary. Jak mamy na emigracji adresować, względnie zaczynać listy?

Jest rzeczą niedopuszczalną, by między emigracją, a Krajem wytwarzał się przedział pod względem kultury, zwyczajów, języka, pisowni i tak dalej. Jesteśmy jednym narodem. Jesteśmy tu na emigracji gałęzią tego samego jednego narodu, gałęzią, która znalazła się poza zasięgiem władzy komunistycznej i tu rozwija w nieskrępowany lub w mniej skrępowany sposób formy życia polskiego nie mające w Kraju swobody rozwoju, ale żadną miarą nie możemy być, ani stawać się, społecznością odrębną, od życia Kraju oderwaną i zaczynającą żyć życiem zasklepionym w sobie. Nie możemy stawać się odpowiednikiem Francuzów Kanadyjskich, czy Niemców Nadwołżańskich, czy choćby tylko Białych Rosjan. Jakby osobną narodowością, posługującą się polskim językiem i mającą polskie tradycje, ale żyjącą własnym życiem i przechodzącą własne procesy ewolucyjne, stopniowo oddalające ją od Polaków w Polsce.

Jest to rzecz prosta naturalne, że mogą być między nami a Krajem różnice, polegające na tym, iż nie podlegamy tym przemianom, którym podlega Kraj, bądź w wyniku procesów samorzutnych i normalnych, bądź w wyniku komunistycznego nacisku zmierzającego do upodobnienia Polski do wzorów sowieckich. Jesteśmy na emigracji bardziej konserwatywni i skłonni ulegać tradycji, żyjemy raczej kulturą polską sprzed 1939 roku, niż kulturą Polski dzisiejszej. To jest naturalne, zdrowe i pożądane: owa kultura polska sprzed 1939 roku jest kulturą autentycznie polską, a więc przechowując ją, nie odrywamy się od ojczystego pnia, a nawet więcej: jesteśmy w narodzie czynnikiem, działającym hamująco na procesy zbyt gwałtownych przemian, spowodowanych przez wpływ komunistyczny i presję sowietyzacyjną.

Ale, o ile możemy się różnić od Kraju tym, że mocniej się trzymamy tego, co w życiu Kraju staje się już tylko przeszłością, o tyle byłoby bardzo źle, gdybyśmy zaczęli się od Kraju różnić skutkami naszej własnej ewolucji, naszych własnych przemian, a już tym bardziej naszego nasiąkania obcymi wpływami.

Dotyczy to zarówno rzeczy podstawowych, jak i drobiazgów.

Pamiętam, czytałem przed wojną nieraz prasę polsko-amerykańską. Poza nie zawsze zbyt poprawną polszczyzną uderzały mnie w niej pewne właściwości pisowni, które nie miały nic wspólnego z polskimi zwyczajami i przyjętymi zasadami.

Można na przykład było czytać w tej prasie nagłówki, brzmiące jak następuje: „Ofensywa Hiszpańskich Wojsk Republikańskich Nad Rzeką Ebro", albo: „Wzrost Nastrojów Opozycyjnych w Polsce". Oczywiście po polsku wszystkie te wyrazy z wyjątkiem Polski i Ebro i z wyjątkiem początku każdego tytułu pisze się małą literą.

Czytając tego rodzaju pisownię, będącą po prostu zastosowaniem do polskiego języka zasad pisowni angielskiej, miało się uczucie obcości: jak bardzo, myślało się, oni się już od Polski oddalili.

Jest rzeczą ważną, by Polak w Polsce dziś, czy za lat dziesięć, nie odnosił takiego samego wrażenia obcości, stykając się z nami, polską emigracją polityczną. I dlatego jest rzeczą ważną, byśmy się nie oddalali od polskości, od polskich zwyczajów i tradycji — nawet w drobiazgach.

Takim właśnie drobiazgiem — jest sposób pisania listów.

Utartym od dawna zwyczajem w Polsce było, że pierwsze słowa listu kończyło się wykrzyknikiem, a więc np.: „Szanowny Panie!".

Zwyczaj ten dzieliliśmy z Niemcami. Natomiast we Francji i w Anglii istnieje zwyczaj, że zamiast wykrzyknika pisze się przecinek.

Istnienie wspólnych zwyczajów polsko-niemieckich, stanowiących barierę oddzielającą Polskę od Europy Zachodniej, nie jest rzeczą ani pożądaną, ani przyjemną. Jestem jak najbardziej za tym, byśmy w Polsce przyjęli zwyczaj francusko-angielski i by „moda" na wykrzyknik została zastąpiona „modą" przecinka. Ale czy możemy taką reformę przeprowadzić tu na emigracji — bez oglądania się na Kraj? Gdybyśmy w tym punkcie mieli inny zwyczaj, niż rodacy nasi w Polsce — byłoby to już zbudowaniem nowej, choćby nawet malutkiej bariery, nie mającej źródła w polskich tradycjach, lecz w fakcie naszego dostosowania się do wzorów naszego obecnego otoczenia.

Co prawda, zwyczaj pisania w omawianym wypadku przecinka zaczynał się szerzyć w Polsce już przed wojną. Szerzy się także i dzisiaj: wszak tyle listów cyrkuluje między emigracją a Polską, że w dziedzinie pisania listów Kraj i emigracja tworzą wciąż jedno, nierozdzielne środowisko; otóż podobno wiele listów do Kraju i z Kraju posługuje się przecinkiem: Kochana Zosiu, a nie Kochana Zosiu!

Tak więc w sprawie wykrzyknika i przecinka nie mam zdania bardzo stanowczego. Osobiście piszę zawsze po staremu wykrzyknik, bo mimo wszystko nie odnoszę wrażenia, by w Polsce pisanie przecinka było czymś więcej, niż tylko zjawiskiem wyjątkowym. Ale przyznaję, że i zdanie odwrotne nie jest pozbawione pewnego uzasadnienia.

Całkiem jednak inaczej wygląda rzecz z treścią słów, od których się list zaczyna.

Istnieją pod tym względem w Polsce zwyczaje od tak dawna ustalone i tak powszechnie przyjęte, że jeśli nie mamy się od Polski zwyczajami naszymi zacząć mocno różnić, musimy się do nich stosować.

Normalną formą zaczynania listów jest w języku polskim „Szanowny Panie". Forma ta może także brzmieć: „Wielce Szanowny Panie". Do osób sędziwych, lub otoczonych szczególnie wielkim szacunkiem i powagą pisuje się także: „Czcigodny Panie".

Natomiast forma „Drogi Panie" nie jest, wedle polskich zwyczajów, formą przyjętą szerzej. Po angielsku pisze się „Dear Sir" do każdego. Natomiast po polsku „Drogi Panie" jest oznaką pewnej zażyłości. Najczęściej, łączy się ją z imieniem: „Drogi Panie Kazimierzu". Oznacza ono, że w codziennym obcowaniu nie jest się wprawdzie na „ty", używa się jednak formy „pan" z imieniem: „czy to pan, panie Kazimierzu?".

Formy „Drogi" i jeszcze serdeczniej: „Kochany" używa się w listach, rzecz prosta, także i wtedy, gdy się jest z kimś na „ty": „Drogi Kaziku", „Kochana Marysiu". Używa się również formy „Drogi" w stosunkach nieco zażylszych i bliższych, dla wprowadzenia tonu pewnej serdeczności do formy „szanowny": „Szanowny i Drogi Panie". Może być także „Szanowny i Drogi Panie Kazimierzu".

Natomiast sama tylko forma „Drogi Panie" ma w sobie odcień pewnej łaskawej wyższości. Może w ten sposób pisać człowiek stary do człowieka bardzo młodego. Może — choć będzie w tym już nuta pewnej niepotrzebnej wyniosłości — profesor do swojego ucznia. Natomiast między ludźmi na równej stopie jest to forma wyraźnie niegrzeczna, mająca w sobie pierwiastek klepania po ramieniu, lub zniecierpliwienia, „Drogi Panie, niech mi Pan nie zawraca głowy i przestanie mnie zasypywać listami".

W dawnych latach, w ówczesnym zaborze austriackim, miała pewien obieg forma „Łaskawy Panie", uważana za grzeczniejszą od „Szanowny Panie". Była to forma zapożyczona z języka niemieckiego: była ona dosłownym tłumaczeniem formy „Gnädiger Herr". W innych dzielnicach widziano w niej jaskrawy germanizm, toteż w okresie niepodległości szybko wychodziła ona z użycia.

W zaborze pruskim utarła się ongiś forma niemiecka, mianowicie zwracanie się w nagłówku listu po nazwisku: „Szanowny Panie Ratajczak". Również i ta forma zanikała w okresie międzywojennym, ustępując miejsca przyjętym formom ogólnopolskim. Natomiast niespodziewanie odżywa teraz na emigracji — pod wpływem języka angielskiego.

Po angielsku „Dear Mr. Smith" jest formą grzeczniejszą, a zarazem będącą wyrazem nieco lepszej znajomości niż samo „Dear Sir". Do znajomego nie wypada pisać „Dear Sir", trzeba wymienić też i jego nazwisko.

Wielu Polaków na emigracji ulega wpływowi tego angielskiego zwyczaju i pisze do znajomych „Drogi Panie Iksiński", lub „Szanowny Panie Igrekowicz". Otóż form takich poprawny język polski nie zna. Można w nagłówku posługiwać się imieniem („Drogi Panie Kazimierzu"), lub tytułami, z „Panie", lub bez: „Drogi Podporuczniku", „Drogi Doktorze" (co jest formą zażyłą, między bardzo dobrymi znajomymi), lub „Szanowny Panie Inżynierze", „Wielce Szanowny Panie Pułkowniku", „Czcigodny Panie Profesorze". Ale nie można posługiwać się nazwiskiem.

Wprowadzanie na emigracji angielskiego zwyczaju zwracania się po nazwisku, musi razić Polaków w Polsce, jako oznaka nasiąkania emigracji obcymi wpływami, w ten sam sposób, jak nas ongiś raziły owe tytuły gazetowe: „Mrozy I Śniegi W Polsce".

Tytulatura listów ma, rzecz prosta, wiele innych jeszcze kwestii, wartych omówienia („Mistrzu", czy „Panie Mistrzu"? „Kolego", czy „Panie Kolego"?). Ale nie należą one do tematu oddalania się emigracji od zwyczajów polskich, nie poruszamy ich więc.

Na zakończenie — zagadnienie, jak adresować listy na kopertach.

Oczywiście, rzeczą zupełnie normalną i właściwą jest adresowanie ich po angielsku: „Mr. Nowak", „Mrs Jankowska", „J. Bednarek Esq.", „Countess" Ostrogska". Mieszkamy w Anglii i stosujemy się do języka, którym posługują się urzędnicy na poczcie.

Ja osobiście jednak zwykle adresuję listy po polsku: WPan Nowak", lub „Wielmożny Pan Nowak".

Anglicy mają zwyczaj adresowania listów do Włocha: „Signor Tomatelli", do Hiszpana „Senor Perez", do Niemca „Herr Müller", a do wszystkich innych cudzoziemców „Monsieur". Jest to w Anglii jedyna forma pisania do cudzoziemca, naprawdę grzeczna i uznająca jego odrębność narodową. Anglicy piszą do cudzoziemców „Mr." lub „Esq." tylko wtedy, jeśli uważają ich za potencjalny materiał na przyszłych Anglików, to jest za ludzi już naturalizowanych lub, którzy brani są w rachubę jako kandydaci do przyszłej naturalizacji.

Otóż nie widzę powodu, dlaczego nie mielibyśmy stopniowo przyzwyczajać społeczeństwa angielskiego do używania naszego „Pan" na równi z Signor, Senor, Herr i Monsieur.

POLONUS

CZY WIESZ O TYM, ŻE w śródmieściu Londynu istnieje już POLSKA PARAFIA?

Jeśli więc mieszkasz w centralnych dzielnicach Londynu, poczuwaj się do obowiązku zgłosić się na członka Parafii i jeszcze dziś wyślij swoje oraz rodziny zgłoszenie do:

Polisch Church Committee — Central London — 21 Earls Court Square, London, S.W.5.

OSTATNI TYDZIEŃ SUBSKRYPCJI

NAJPOGODNIEJSZEGO Z DOTYCHCZASOWYCH TOMÓW BIBLIOTEKI POLSKIEJ

GIOVANNI GUARESCHI'EGO

DON CAMILLO I JEGO TRZODA

Dalszy ciąg przygód proboszcza Don Camillo wójta Peppone w przekładzie JANA BIELATOWICZA

Cena w przedpłacie wraz z przesyłką 9 szyl., po upływie terminu przedpłaty — 15 szylingów w księgarniach.

KAPŁAN ŻARLIWY

Wspomnienie o ś. p. ks. kan. Henryku Kornackim

Zgasły przedwcześnie w dniu 19 stycznia 1956 roku ks. Henryk Kornacki był synem ziemi sieradzkiej, urodził się bowiem 4 czerwca 1908 roku w Złoczewie, koło Sieradza. Po ukończeniu studiów duchownych we Włocławku tam też w roku 1934 otrzymał święcenia kapłańskie, po których był wikariuszem i prefektem gimnazjum w Kaliszu. Równocześnie studiował prawo kanoniczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, wieńcząc te studia stopniem magisterskim.

W kampanii wrześniowej 1939 roku, którą przebywał jako kapelan 29 p. p. Strzelców Kaniowskich, otrzymał Krzyż Walecznych za męstwo, z jakim ratował dusze i ciała swych towarzyszy broni na polu bitwy pod Kutnem.

Wzięty do niewoli niemieckiej, został niebawem wraz z innymi polskimi kapelanami bezprawnie zesłany do obozów koncentracyjnych, najpierw do Buchenwaldu, a następnie do osławionego Dachau. W tej katowni polskich księży był nieludzko bity za to, że nie chciał za esmanem powtórzyć, że jest „polską świnią", ale z godnością stwierdzał, że jest polskim kapłanem, księdzem. Z tej próby wyszedł nieugięty kapłan bez połowy zębów i z ciężko naruszonymi organami wewnętrznymi, co mu już nigdy nie pozwoliło na powrót do sił i zdrowia.

Po uwolnieniu z niewoli udał się ks. Kornacki do Włoch i tam został kapelanem 3 Dyw. Strzelców Karpackich w 2 Korpusie. Wraz z 2 Korpusem przybył do Wielkiej Brytanii, gdzie po wyjściu z szeregów pomagał w pracy duszpasterskiej przy Brompton Oratory zmarłemu przed rokiem ks. kanonikowi W. Judyckiemu. W tym czasie był też kapelanem Akademickiego Komitetu Pielgrzymek Maryjnych, w którym wznowił tradycję odnawiania ślubowań jasnogórskich polskiej młodzieży akademickiej z roku 1936. Był też Asystentem Kościelnym Koła PKSU „Veritas" im. św. Stanisława B. i M., w którym wygłaszał konferencje na temat życia wewnętrznego. Uczył jako prefekt na gimnazjalnych kursach dla dorosłych. W Roku Świętym 1950 wiele osób z całej Wielkiej Brytanii zetknęło się z tym gorliwym kapłanem podczas przez niego urządzonych i prowadzonych pielgrzymek jubileuszowych do Rzymu.

W marcu 1951 r. został ks. H. Kornacki mianowany duszpasterzem polskim dla rodaków zamieszkałych na Ealingu. Niebawem rozwinął tam bujne życie parafialne, organizując ponadto Sodalicję Mariańską oraz Koło „Caritas", wspomagające darami rodaków w Kraju. Serdeczną opieką otoczył dzieci i młodzież, a szczególnie Harcerstwo, którego sam był wychowankiem i członkiem.

Za swą pracę i zasługi otrzymał Zmarły jeszcze dawniej od ks. Biskupa Polowego J. Gawliny przywilej noszenia rokiety i mantoletu kanonickiego, z czego zresztą nigdy nie korzystał. Był też oficerem krzyża Polski Odrodzonej, przyznanego mu na uchodźstwie.

Był ś. p. ks. Henryk Kornacki kapłanem z powołania i zamiłowania; w obowiązki kapłańskie i patriotyczne wkładał całe swe wrażliwe serce. Prosty i przystępny umiał i lubił okazywać ludziom swą serdeczność, jakże często jednak nie umiano tego ocenić, jakże często wykorzystywano jego i tak słabe siły. Bo ten dwojący się i trojący nieraz człowiek od czasu przebytej przed 7 laty operacji żył bez jednej nerki i ze schorzałą drugą, i każdy dzień życia uważał za darowany. Może właśnie to ciągłe patrzenie śmierci w oczy sprawiało, że szczególnie umiał on jednać z Bogiem ludzi zatwardziałych nawet w obliczu śmierci. Że na spojrzenie jego oczu i na pełne miłości, ale też i wyrzutu słowa pękała twarda skorupa pychy ludzkiej i dusze rozchylały się ku Bogu. Nieraz sam odprowadzał tych ludzi na wieczny spoczynek i nad grobem ich, mówiąc serdecznie o nawróconych, rzucał twarde słowa przestrogi żyjącym w błędzie i grzechu.

W swej uczciwości i żarliwości religijnej i patriotycznej był ś. p. ks. H. Kornacki naturą szczerze polską, zapalną i nieraz upartą w swym zdaniu, toteż w działaniu praktycznym zarówno porywał zwolenników, jak też i budził mocne sprzeciwy, ale wszyscy skłaniali głowę przed jego ofiarnością, której dowody dawał do ostatnich chwil swego życia, jako pasterz dobry, który starał się być „wszystkim dla wszystkich".

*

Na obrzędy pogrzebowe licznie przybyli z całej Wielkiej Brytanii polscy bracia-kapłani z ks. infułatem B. Michalskim i ks. prałatem W. Staniszewskim na czele, najwyżsi przedstawiciele kół politycznych, oraz organizacyj społecznych i kulturalnych, a przede wszystkim bardzo liczni wierni.

Mszę św. celebrował przyjaciel Zmarłego, ks. R. Gogoliński-Elston w asyście ks. J. Gołąba i ks. W. Gajeckiego. Pienia religijne wykonał chór im Chopina i parafialny oraz artysta opery M. Nowakowski. Po Mszy św. celebrans w przemówieniu żałobnym nakreślił sylwetkę Zmarłego jako polskiego kapłana i patrioty, a po modłach przy katafalku poprowadził kondukt.

Na cmentarzu Ealing-Brentford po modlitwach kapłańskich nad otwartą mogiłą wszyscy obecni odśpiewali „Anioł Pański". A gdy przebrzmiały słowa modlitwy, pochyliły się po raz ostatni głowy przed trumną kapłana-tułacza i posypały się na nią grudki obcej i polskiej ziemi. Wyrosła na obczyźnie nowa polska mogiła, kryjąca szczątki gorliwego kapłana i zacnego syna Polski.

Niech odpoczywa w pokoju wiecznym.

Janusz Czaharski

NOTATKI

POLONUSA miłość języka polskiego jest tak gorąca, że aż ślepa. Rozważania jego o „Uwadze stopowej" (ŻYCIE nr 7) są wzruszające jako wyraz uczucia, gardzącego rzeczywistością i nauką. Pomijając cały szereg takich drobiazgów, jak np. nazywanie „strzechy" i „okrycia" — „neologizmami", jak twierdzenie jakoby „rzemieślnicy niemieccy przynieśli nam w średniowieczu do naszych miast słowo dach i sam przedmiot, tak samo jak przynieśli mur i pług" (kiedy akurat na odwrót, pług jest jednym z bardzo nielicznych wyrazów polskich w niemczyźnie) lub autorytatywne oświadczenie, że „język polski nie boi się garści wyrazów niemieckiego pochodzenia" (wyrazów zaczerpniętych z niemczyzny jest w naszym słowniku więcej, bo ponad dwa tysiące, niż wyrazów pochodzenia prasłowiańskiego), pomijając te i tym podobne drobiazgi, nie można przejść jednak do porządku nad tym, co Polonus napisał o języku czeskim. Napisał mianowicie tak: „Bo język czeski jest właśnie typowym przykładem mowy słowiańskiej, uformowanej na modłę niemiecką. Czech **myśli** podobnie do Niemca, czy Austriaka, choć posługuje się słownictwem, z którego niemieckie, a częściowo i łacińskie źródłosłowy usunął. Czystość czeszczyzny jest tylko pozorna".

Gdyby Polonus napisał: „Moim zdaniem, Czesi myślą po niemiecku", możnaby to od biedy uznać za osobistą niechęć do braci Słowian, albo jeszcze słuszniej, za grymas publicystyczny. Po cóż jednak plątać w to język, o którym wie się tylko tyle, że istnieje. Gdyby bowiem Polonus znał język czeski, a nawet gdyby tylko znał dzieje języka polskiego, wiedziałby dobrze, że:

a) Język czeski nie jest „typowym przykładem mowy słowiańskiej, uformowanej na modłę niemiecką", gdyż język czeski jest typowym językiem słowiańskim.

b) W wieku V po Chrystusie nie było jeszcze żadnej różnicy między językiem polskim i czeskim.

c) Wyraźna różnica między językami zachodnio-słowiańskimi zaistniała i zaczęła się utrwalać na przełomie stuleci VIII i IX.

d) Po dziś dzień język czeski i polski są najbliższymi sobie językami słowiańskimi i posiadają liczne cechy wspólne. Gwary morawskie, laskie i śląskie są pośrednimi ogniwami łańcucha wspólnoty językowej polsko-czeskiej.

e) Język czeski rozwinął się jako mowa kulturalna wcześniej od polskiego, bo już w państwie wielko-morawskim, i w wieku IX posługiwała się nim górna warstwa ludności również części Małopolski i Śląska.

f) Zapożyczenia językowe łacińskie, związane z kultem chrześcijańskim i organizacją Kościoła, dali nam wraz z samym chrześcijaństwem Czesi i dzięki przyjęciu od nich tych wyrazów w brzmieniu już zeslawizowanym, przybrały one w polszczyźnie postać głosową nie odbijającą od wyrazów rodzimych (np. kościół, anioł, krzyż, pacierz, ołtarz, proboszcz, nieszpór, opłatek itd. itd.). Znaczną część wyrazów łacińskich w polszczyźnie należałoby określać jako łacińsko-czeskie.

g) W polszczyźnie jest mnóstwo wyrazów czeskich, jak np. Bogurodzica, gromnica, kazanie, małżonek, błogosławić, władać, władca, własny, właściciel, Wacław, Władysław, serce (po polsku powinno być sierce), hańba, hardy, błahy, hojny, hrabia, bohater, porucznik, poruczyć, straż, brama, wnuk, rusznica, smutek, wesele, zwłaszcza, obecny, obywatel,, a także i, co w języku jest dowodem wyjątkowo silnego wpływu, form słowotwórczo-fleksyjnych, jak np. skrócone formy zaimków dzierżawczych typu: ma, twa, twego, mego, swego.

h) Najstarszy literacki zabytek języka polskiego, pieśń, kiedyś hymn narodowy „Bogurodzica", posiada tyle cech czeskich słownikowych i głosowych, że m. in. na tej podstawie autorstwo pieśni przypisuje się św. Wojciechowi. Również „Kazania Świętokrzyskie", „Psałterz Floriański", a nawet jeszcze i „Biblia królowej Zofii" roją się od czechizmów. Najstarsze teksty liturgiczne i kościelne polskie były przekładami z czeskiego, przy czym tłumacze wyrazy, jakich język polski nie posiadał, przenosili do spolszczonych tekstów żywcem z czeskiego.

i) Rozkwit literatury czeskiej przypada na wiek XIV, kiedy u nas wszechwładnie panowała jeszcze łacina, a o języku narodowym w piśmiennictwie było głucho. Na jego powstanie wpłynęła w dużej mierze literatura czeska. W wiekach XIII, XIV i XV znajomość języka czeskiego w Polsce i jego rola były takie, jak za naszych czasów francuskiego. Uchodził on za wzór piękna i elegancji. Posługiwała się nim chętnie oświecona warstwa narodu polskiego.

j) Łukasz Górnicki w „Dworzaninie" (1566) nazywa język czeski „najcudniejszym" oraz „obfitszym niż nasz...a to stąd, iż pirwej do nich i pismo i nauki przyszły", zalecając wzorowanie się na słownictwie czeskim w wypadku, jeśli „polskich słów nie stanie", przy czym gani snobów popisujących się czeszczyzną na dowód, że są ludźmi bywałymi i wykształconymi. W wieku XVI czeszczyzna uchodziła w Polsce nadal za język najwyższej kultury i smaku. Wpływy słownikowe czeskie szerzyły się wówczas nagminnie. Jan Malecki, tłumacz katechizmu Lutra, pisał, „iż dobrze po polsku mówić nie będzie, kto czeszczyzny nieświadom". Rej z lubością używał czechizmów, jak np. hnet, hydzić, kak a kterak, złotohław itp.

k) W wieku XX Czesi próbowali usilnie wyrugować ze swego języka wszystkie germanizmy, co się im o wiele lepiej udało niż nam. Germanizmy w czeszczyźnie były oczywiście wyłącznie słownikowe, gdyż sam **język czeski jest klasycznie czystym językiem słowiańskim, w stopniu wyższym niż współczesna polszczyzna.**

l) Gdyby Czesi „myśleli po niemiecku", zapewne by jako naród nie odrodzili się do życia niepodległego po trzywiekowej niewoli.

*

CIĘŻKIE pociski Polonusa, skierowane nad Morawę i Wełtawę, padły także nad Wisłą, a raczej nad Wisełką. Oberwało się bowiem Małopolanom i krakowiakom, z których polszczyzny Polonus szydzi, podając (na wiarę) przykład złego języka czytelnika „Ilustrowanego Kuriera Codziennego". Dodaje w imieniu własnym i cudzym, że „znaliśmy dobrze typ „Austriaka polskiej mowy".

Niewiadomo, jakiej nacji było (i jest) więcej: czy „Rosjan polskiej mowy", czy „Prusaków polskiej mowy", czy takiejże mowy „Austriaków". To kwestia sumienia.

Jeśli chodzi o język, to Małopolanie, zanim przedzierzgnęli się w Austriaków, ukształtowali polski język literacki, który rozwinął się przede wszystkim z gwary małopolskiej, a potem z dworu królewskiego w Krakowie i przez książki tam drukowane „podbił" całą Rzeczpospolitą. Duży wpływ na powstanie języka literackiego miała także Wielkopolska, natomiast Mazowsze nie miało żadnego. Prymat Krakowa, jako językowej stolicy Polski, utrzymał się do naszych czasów, głównie dzięki Uniwersytetowi Jagiellońskiemu i Polskiej Akademii Umiejętności.

Ale dziś to już historia, gdyż od XVI wieku poczynając wytworzył się w Polsce wspólny język warstw oświeconych (literacki), a w XX wieku różnice między polszczyzną kulturalną Małopolan, Wielkopolan, Mazowszan, Pomorzan czy Wilnian dosłyszy tylko językoznawca.

J. B.

gente Austriacus (Haliciensis),
natione Polonus,
linguae Cracoviensis

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 0734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. WPŁATY a) w krajach bloku sterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: „Libreria Polaca", Serrano 2076 piso I, Buenos Aires. AUSTRALIA: „Vistula" (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Mme E. Kułakowska, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska Casa „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i Mons. W. J. Siapa, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: ks. K. Stolarek, OMI, 29 Av. Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, S. et M.), CC 5 603 40. Pren. kwart.: 540 fr. HOLANDIA: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. International Book Service, 57, Queen Str. W., Toronto. NIEMCY: St. Mikiciuk, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45 oraz „Informacja Prasowa", Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. NORWEGIA: B. Łubiński, Kongesgat 2, Moss. STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication", 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz „Pomoc" — Eksport - Import, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr. A Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2.Pren. kwart. 5.00 frs. SZWECJA: Mgr. B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska, via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.